

ROK LIX.

CENA NUMERU 1.40 gr.

№. 10

# B L U S Z C Z



WARSZAWA, 6 MARCA 1926 ROKU



## OD ADMINISTRACJI

**Prosimy o wpłatę prenumeraty za marzec r. b.  
Czeki P. K. O. dołączyliśmy do N-ru 8-go.**

NA CZEKACH PROSIMY WYMIENIAĆ OKRES, KTÓREGO PRENUMERATA DOTYCZY, ORAZ PODAWAĆ DOKŁADNY SWÓJ ADRES, A TO: IMIĘ, NAZWISKO, ZAWÓD, MIEJSCE ZAMIESZKANIA, ULICĘ, Nr DOMU I POCZTĘ.

## KOMUNIKAT

Z dniem 1 Marca otworzyliśmy przy T-wie Wyd. i Administracji „BLUSZCZU” dział księgarski, który Sz. Panie Prenumeratorki zaopatrywać będzie w książki wszelkiego rodzaju odwrotną pocztą po normalnych cenach katalogowych.

Polecając dział ten uwadze Sz. Pań, komunikujemy o ukazaniu się w ostatnich czasach następujących nowych wydawnictw:

Vivanti . . . . .	Naja Tripudians . . . . .	zł. 3.—	Kozicka . . . . .	Burza od wschodu . . . . .	12,—
Stevenson . . . . .	Opowieści nocne . . . . .	4,80	Kiedrzyński . . . . .	Żona i nie żona . . . . .	6,—
Miciński . . . . .	Vita . . . . .	8,20	Wyspiański . . . . .	Dziela tom 3 . . . . .	16,—
Perzyński . . . . .	Raz w życiu . . . . .	6,—	Kasprowicz . . . . .	Mój świat (poezje) . . . . .	6,80
Makuszyński . . . . .	Wycinanki . . . . .	5,—	Hörsick . . . . .	Wenus i amor . . . . .	9,—
Rychliński . . . . .	Mah-jong . . . . .	4,—	Peris . . . . .	Kimono . . . . .	4,50
Łada . . . . .	W zaklętym zamczysku, 2 tomy . . . . .	12,—	Boy . . . . .	Brewerje . . . . .	6,60
Dorożyński . . . . .	Na ostatniej placówce . . . . .	10,—			

Prócz wyżej wymienionych posiadamy na składzie:

Zofja Machowiczowa	„Zbiór Monogramów” z przesyłką	zł. 5.—	J. Kraszewski . . . . .	Hr. Cosel t. II. . . . .	0,95
J. Conrad . . . . .	Sześć Opowieści . . . . .	1,95	J. London . . . . .	Ostatni z Siekierzyńskich . . . . .	0,95
J. London . . . . .	Smuga Cienia . . . . .	1,95		Syn Słońca . . . . .	0,95
E. G. Wells . . . . .	Odszczepienie . . . . .	0,95		Serce Kobiety . . . . .	0,95
W. Gomułicki . . . . .	Wehikuł Czasu . . . . .	0,95		Wilk Morski t. I. . . . .	0,95
A. Dumas . . . . .	Siódme Amen . . . . .	0,95		„ . . . . . II. . . . .	0,95
Winawer . . . . .	Dama Kameljowa . . . . .	0,95		„ . . . . . III. . . . .	0,95
W. Grubiński . . . . .	Lepsze Czasy . . . . .	0,95		Zew Krwi . . . . .	0,95
Tetmajer-Przerwa . . . . .	Nowele . . . . .	0,95	Dygasiński . . . . .	Wyga . . . . .	0,95
G. Maupassant . . . . .	Waterloo . . . . .	0,95	K. Dickens . . . . .	Złamane Życie . . . . .	0,95
J. London . . . . .	Panna Fifi . . . . .	0,95	Mark Twain . . . . .	Opowieść Wigilijna . . . . .	0,95
J. Kraszewski . . . . .	Opow. Mórz Południowych . . . . .	0,95	E. Ligocki . . . . .	Król i Osioł . . . . .	0,95
	Hr. Cosel t. I. . . . .	0,95		Powrót Beatryczy . . . . .	0,95

Książki powyższe wysyłamy przesyłką poleconą natychmiast po nadesłaniu nam wartości zamówionych książek oraz 45 gr. na koszt wysyłki. Wysyłkę za pobraniem pocztowem uskuteczniamy po nadesłaniu przy zamówieniu części należności znaczkami pocztowymi na koszt wysyłki.

JUŻ WYSZŁA Z DRUKU

ANNIE VIVANTI

FASCYNUJĄCA NOWOŚĆ

## NAJA TRIPUDIANS

(Z MIJA EGIPSKA)

ŚWIETNIE TŁUMACZONA PRZEZ T. JAKUBOWICZA

Cena 3 zł., z przesyłką poleconą 3 zł. 50 gr. Na składzie w Administracji „Bluszczu”.

Wysyłka polecona po poprzednim nadesłaniu należności.

2 TOMIKI ZŁ. 5.

ANNA SŁONCZYŃSKA

2 TOMIKI ZŁ. 5.

## MUZYKA SŁOŃCA I BOŻE GNIAZDO

Nakład Ludwika Chomińskiego. Wilno.

Do nabycia we wszystkich księgarniach.

KTO MA BRODAWKI NA TWARZY I RĘKACH  
KTO CIERPI NA ODCISKI (ODGNIATY) NA NO-  
GACH, NIECH KUPI PASTĘ

## ESTA

ZNANĄ OD CZTERDZIESTU LAT ZE SWEJ  
SKUTECZNOŚCI, CZEGO DOWODEM SETKI  
UZNAŃ I PODZIĘKOWAŃ

wyrobu aptekarza E. SOKALSKIEGO w Kętach—Małopolska.





ROK LIX

№ 10

# PIŚMIENIOWO ILUSTROWANE DZIAŁANIE KOBIEK

WARSZAWA, 6 MARCA 1926 ROKU.

TREŚĆ NUMERU: O pacyfizmie i wychowaniu—*Wanda Pelczyńska*. Na marginesie książki „Myriam Harry” — *C. Walewska*. Opieki nad dzieckiem—*Helena Boguszewska*. Po zamknięciu wystawy paryskiej—*Jadwiga Handelsmanowa*. Wiersze: „Adam”, „Ewa”—*Jadwiga Brzostowska*. Myśl o tem—*co chcesz* (c. d.)—*Helena Ceysingerówna*. Margrabina de Bois de Boulogne (groteska w 3 aktach (c. d.)—*Magdalena Samezwaniec*. Podbój siedziby — *Rudyard Kipling* (tłum. Koziełł-Poklewska). Córka Boga (c. d.) — *Z. Zawiszanka*. Ś. p. Janina Kociatkiewiczowa. Przegląd ruchu plastycznego w Warszawie—*N. Samotyłowa*. Kobieta w świecie i w domu—*Z. B. Z teatrów—Z. P.* Dział praktyczny: Mody i roboty. Pelerynka na drutach. Przeróbki i odświeżenia—*Well*. „Czyń każdy w swoim kółku...” —*N...ska*. Reforma gospodarstwa domowego—*Felicja Sachsówna*. Oczyszczanie sadów—*Stan. Schönfeld*. Śledzie—*Pani Elżbieta*. Przepisy gospodarskie—*Pani Elżbieta*. Dobre rady. Korespondencje działu praktycznego. Opis sukien i robót. Dodatek powieściowy: „Jaremką i Hamlet” (kronika zdarzeń z życia pewnego chłopca, jego psa i prowincjonalnego miasta (c. d.))—*Hugh Walpole* (tłum. z angielskiego *Irena Wasiutyńska*). ARKUSZ WZORÓW.

## O PACYFIZMIE I WYCHOWANIU



Nr. „Bluszczu” w artykule p. t. „Rycerstwo Pokoju” pani J. O. R. podnosi ważną i nad wyraz żywą sprawę pacyfizmu, ideał „Stanów Zjednoczonych Europy” i dla nas kobiet wskazuje wdzięczną rolę propagatorek pięknych haseł.

Idealy pacyfizmu mówi pani J. O. R. „powinnyśmy przeszczepić na grunt rodzinny, wpajać dzieciom, którym nie damy do rąk zabawek, armatek, szaberek, żołnierzyków, od dziecka przyzwyczajających do myśli o zabijaniu. Tych pałaszów złotych, szaberek i proporczyków, które były dla nas najświętszym symbolem wolności... Idealy dziecka trzeba umieszczać w czemś szlachetniejszym, niż waleczność, a nawet bardziej twórczym, niż obrona — w pracy i t. d. i t. d.”

Temat poruszony przez autorkę art. „Rycerstwo Pokoju” wymaga omówienia.

Niema chyba w Polsce ani jednego serca kobiecego — które pragnęłoby wojny. Społeczeństwo nasze chce pokój! Zbyt długo szalała krwawa pożoga, abyśmy mogli pragnąć ponownych walk i zbrojnych zmagañ. Przyszedł czas pokojowej pracy i pokojowej rozbudowy w tych granicach, w których na mapie Europy znaczy się imię Rzeczypospolitej. Nie czujemy potrzeby ekspansji terytorjalnej, nie jest nam w tych granicach za ciasno.

W planach naszej polityki i w aspiracjach społeczeństwa nie istnieje idea wojny zaczepnej. Nie

potrzebujemy, jak nasi sąsiedzi, myśleć o odwecie, lub o orężnej propagandzie społecznego przewrotu, dalecy jesteśmy od planów imperjalistycznych.

Na rozwijający się, niestety żółwim krokiem, pacyfizm, musi każdy myślący polak patrzeć z radością w sercu, bo im głębiej i im szerzej rozleje się fala pokoju wśród narodów Europy — tem pewniejsi będziemy, że o ściany naszego domu nie uderzy znów huragan wojny.

Ale — jak ma wyglądać ów pacyfizm przeszczepiony na grunt polski.

Coraz mocniej zaczyna się utrwać w społeczeństwie naszym złudzenie, że przed wojną byliśmy narodem, który — skowany kajdanami niewoli, dzierżył w omdlewającym ręku miecz — i nasłuchiwał z wyteżoną uwagą, z której strony padnie hasło orężnej walki o wolność, kiedy przyjdzie zew...

Dzieciom — jak mówi pani J. O. R. w wyżej wspomnianym artykule — pokazywano pałasze złote i proporczyki — „jako najświętszy symbol wolności”.

Czy tak było w istocie?

Wśród zbrojącej się i szykującej do wielkiej wojny Europy my tylko, my jedni byliśmy najbardziej dalecy myślą i przygotowaniemi od walki zbrojnej. Odganialiśmy od siebie, jak widmo złe, jak ciężką zmorę, myśl o wojnie, — o wojnie, której straszne cielsko miało tysiącem szponów wbić się w naszą właśnie ziemię.

Wieszczowie nasi w świętym jasnowidzeniu kazali nam modlić się o „wojnę ludów”... A my nie



wierzyliśmy w nią — do ostatniej chwili — i przyjscie jej uważaliśmy prawie wszyscy za tragiczne nieszczęście.

Padały mężne słowa, święte zaklęcia, symulowany, tani entuzjizm do walki o wolność — ale czynny? Ilu polaków było duchowo i praktycznie przygotowanych do wzięcia czynnego udziału w walce o wolność?

Lepiej nie liczyć, cyfry byłyby aż nadto bolesne.

Faktem jest — że wśród wielkich militaryzmów Europejskich my jedni byliśmy nietylko skucikajdanami niewoli — ale co ważniejsza rozbrojeni wewnątrz.

Nie bójmy się powiedzieć sobie jasno i otwarcie całej prawdy! My kobiety, które przeszłyśmy przez wszystkie okropności wojny, „w której rany same wkładałyśmy ręce.“

Nasz militaryzm przedwojenny?

Były to tylko słowa, w które wierzyły dzieci i mała garść młodzieży.

A potem — po odzyskaniu niepodległości!

Tyle się mówi o porywie całego narodu, o ofierze z krwi i mienia całego społeczeństwa. Mój Boże, dobrze jest czasem ku pokrzepieniu serc odwrócić wzrok od rzeczywistości i patrzeć w tęczowe oblicze złudzeń. Ale również dobrze jest nie ulać się — i śmiało spojrzeć w oczy prawdzie.

Przypomnijmy sobie — jak wyglądały w Warszawie w r. 1920 owe szeregi „ochotnicze“, rażno i buńczucznie maszerujące po ulicach Warszawy.

Przypomnijmy tylko!

Gdy bruk stolicy tętniał od tupotu ich żołnierskich butów, a serca nasze tłukły się w najgłębszym wzruszeniu, gdy poprzez łyżę patrzyło się na owe najukochańsze szeregi żołnierza — jeden szepcował z ust do ust w ślad za maszerującymi kolumnami: — „Dzieci“.

Tak — to były przeważnie dzieci! Gdzie był ów dojrzały, męski poryw bojowy narodu. Lepiej nie pytać o cyfry — lepiej nie liczyć — byłoby to aż nadto bolesne.

Był mdły sentyment dla munduru, ale entuzjizmu do walki, ale owego chwycenia za broń wszystkich zdolnych do noszenia broni nie było!

Żyją w naszych wspomnieniach chwalebne czyny poświęcenia i ofiarności bez granic. Z mgły

przeszłości zmartwychpowstają najdroższe twarze tych, którzy złożyli w bohaterskiej dani swe życie — w ciży ich mogliśmy mieć odwagę wyznać — że nieduża była liczba tych, których porwał bez zastrzeżeń zew Ojczyzny.

Ponad miarę duży był procent tych, którzy swój dług względem kraju chcieli spłacić jaknajtańszym kosztem, jaknajmniejszym ryzykiem, a zachowaniem możliwie największej ilości pięknych pozorów.

Nie mamy prawa pomniejszać naszych wartości patriotycznych — ale czyż słusznie czynimy wyolbrzymiając je w oczach własnych? Czy przeliczenie się in plus w tym wypadku nie jest mocno niebezpieczne?

Polak jest większym pacyfistą, niż to się wydaje naszym wrogom i nawet naszym przyjaciołom zagranicznym, większym... niż to się nam samym na pierwszy rzut oka wydaje.

Nie trzeba więc pomniejszać w duszach naszych, ani naszych dzieci cnót żołnierskich — raczej należałoby iść we wręcz przeciwnym kierunku.

Czy będziemy dzieci nasze „przyzwyczajając do myśli o zabijaniu“. Zaiste nie! — bo to nie są myśli prawego żołnierza. Natomiast przyzwyczajamy dzieci nasze do myśli o walce obronnej, do myśli, że o ile przyjdzie potrzeba, to każdy próg domu polskiego stanie się twierdzą i każde ramię, zdolne do dźwignięcia oręża — oręż dźwignie.

Pacyfizm szerzony bez zastrzeżeń, gdy trafi na głęboko zmilitaryzowanych od szeregu pokoleń bojowo nastrojonych naszych sąsiadów z zachodu i ze wschodu — może wydać dla ludzkości błogosławione owoce — ale taka propaganda u nas w Polsce tak bardzo obcej szerokim wojennym porywom — może dać tylko zgubne odprężenie uwagi i stać się źródłem najgroźniejszych nieszczęść.

Wychowanie narodu w sensie zupełnego rozbrojenia — wzmoże u nas typ materialisty, nie wychodzącego poza obręb swych osobistych interesów, nie stworzy duchów zdolnych do poświęceń, które są siłą każdego narodu.

Na jedno zgoda! Trzeba zmniejszyć ilość głośnych słów na temat zapalów bojowych naszego narodu, tanich słów, które do szaleństwa przepelniano uszy naszego pokolenia,

Wanda Pełczyńska

## NA MARGINESIE KSIĄŻKI MYRIAM HARRY<sup>1)</sup>

Wyszła niedawno powieść francuska, która może stanowić ciekawy wątek do dyskusji na temat, jak należy kierować wyobraźnią dziecka, żeby dawała dobre wyniki, a nie pęziła na manowce. „La petite fille de Jérusalem“ przez Myriam Harry<sup>2)</sup> — po za niemiłą dla nas wzmianką o rzekomem przesładowaniu Żydów w Polsce i śmiesznym nadaniem

imienia „Kazmierz“ neoficie, żydowi rosyjskiemu, przez misjonarzy angielskich — należy do ciekawszych rzeczy, jakie ukazały się w międzynarodowej beletryście współczesnej. Bohaterką — poza „małą dziewczynką“ Sioną — jest rodzime jej miasto, Jerozolima<sup>3)</sup>, ten wszechświatowy trakt pielgrzymi, pełen tajemniczych zakątków, grot mistycznych, dróg skalistych,



kwietnych dolin, wzgórz z trzodami owiec. Peten kościołów, bazylik, meczetów. „Święte miejsce“, przesycone żarem modlitw, cudami, łaski, pokorą wiernych, a takie pogańskie w zabobonach miejscowej ludności, że aż prawie barbarzyńskie.

W starym domu saraceńskim, na górze Sjonu, urodziła się „mała dziewczynka“ z matki niemki, zabięgliwej, skąpej gospodyni, wielce gorliwej protestantki i z ojca araba o nieokiełznanej wyobraźni, bujnym temperamentem i szaleństwem syna pustyni. Wykołysały Sionę piosnki, opowiadania, bajki piastunki, rodowitej betleemki.

Dzieci Jerozolimy niepodobne są do innych. Patrzą zawsze zgóry na wszystko, bo wzdłuż wąskich, kamienistych uliczek nie mogą chodzić pieszo. Noszą je na plecach niańki, a podrosłszy, dosiadają osiołków i z grzbietów ich spoglądają na rzeki pielgrzymów, ciągnące łożyskiem gościńca chrześcijan.

Ojciec Siony miał antykwarnią, która była zaczarowanym światem marzeń dziewczynki. Pod arkadami sklepienia książki różnojęzyczne. W głębi sala, wysłana perskimi dywanami, pełna złocień, podobna do kapliczki, lub meczetu. A dalej — jakby grotta ze starą bronią, nad którą poprzez kraty okien sączyło się blade zielone światło. Jeszcze dalej — dziki ogród — arkady otwarte na murszejącą już galerię nad stawem Betsabejskim. Po drugiej stronie ruiny z krzakami hyzopu i drzewkiem kaparowem. Na piętrze domu saraceńskiego był tajemniczy zakątek, ku któremu rwały się wszystkie myśli Siony. Gromadził tam ojciec stare wykopaliska fenickie, które przywoził z wypraw dalekich — posążki Baala, Molocha, Astarot. Kołysała je na rękach Siona. Śpiewała im piosnki, opowiadała bajki, usłyszane od swojej piastunki, lub nadzwyczajne historie o polowaniach na strusie, o pędzonych na targ, jak dzikie zwierzęta, poprzez gorejące pustynie czarnych ludziach, o czym tak często mówił jej sługa ojca, murzyn Abdallah — prosty, smukły, jak cyprys. — Łasłuchiwała się w głos swój własny i była pewna, że posążki rozumieją wszystko. Wyobraźnia jej snuła dokoła tych rzeczy dziwne światy, jej tylko wiadome. Żyła swoim własnym, zatajonem życiem wewnętrznym, obca matce, która jej nie rozumiała i siostrze — dobrej gospodyni, wiernej protestantce, jak matka. Jedność stanowili tylko z ojcem. Szedł od niego ku niej dech jakowychś pozapowszednich poczynań i nieobliczalnych zamierzeń. W długie zmierzchowe godziny pod cieniem cyprysów snuli marzenia o potężnych bogactwach, sławie, zaszczytach, jakie przyniosą im wykopaliska fenickie, których napisy odczytywał już biegle bujny arab. Zakupią pół Syrii. Będą mieli wspaniałe pałace, ogrody, parki z widokiem na morze, drzewa, sprowadzone ze wszystkich stron świata. Kołysali się w atmosferze złudy, jak na białym obłoku, przez który przeświecało słońce. Pełni byli oczarowań, olśnień, gdy wieczorem — przy wspólnym stole — trzeźwił ich głos matki, nienawidzącej wykopalisk, ostrzegającej przed niemi — kłeską, nieszczęściem rodziny.

Była Siona już podłotkiem, kiedy na cześć jakichś gości zamorskich urządził ojciec wyprawę do Jerycho, nad Morze Martwe, nad brzegi Jordanu. Nic piękniejszego na świecie. Cały przepych wschodni. Karawana. Beduini w białych płaszczach i welo-

nach rozwianych, w butach i czerwonych o stalowem ząbieniu obcasów dla rozgniatania wężów. Długie strzelby i łuczywa, szable damasceńskie, cieniutkie lance, rozkołysane u strzemion, wielbłądy z zawieszonymi po bokach koszami z łożyny. Baldachimy z najsubtelniejszych tkanin. Czy to mogła być zjawą realna? Siona zatracala poczucie granic między rzeczywistością, a złudą. Nie mogła żyć już inaczej, jak tylko w oparach marzeń. Zaczęła tworzyć wiersze — psalmy, hymny radości, pieśni żałobne, które deklamowała z wysokości balkonu dalekim, uśpionym na zboczach wzgórz trzodom owiec.

Ojciec, zachwycony, wołał: „moja mała Deboral..“ A matka, siostra i przyjaciółka domu, djakonisa Hilda, załamywały ręce w rozpacz.

— Poetka... nie wyjdzie zamąż... mężczyźni nie lubią poetek... Usiłowano leczyć ją z marzeń, sprowadzono pastora. Za późno i za brutalnie. Nieokiełznana wyobraźnia zapędziła czternastoletnią dziewczynkę w labirynt jakiejś fantasmagorycznej miłości. Byłoby skończyło się kłeską — nikczemnym sadyzmem, popa barbarzyńskiego, mającego ją ratować rzekomo z niedoli, gdyby nie odruch dziewiczej czystości, który nagle wstrzymał bieg nad przepaściami.

Ojciec — bujny arab — zwarzjował, gdy ogłoszono paszkwil, że wykopaliska, które miały mu przynieść sławę, majątek, zaszczyty, były falsyfikatem, Sionę od obłędu uchroniła może pół — krew matki...

Gdy w progi rodziny zajrzała nędza, budzi się w dziewczynce nagła trzeźwość. Ujmuje w ręce ster podupadającej antykwarni, dźwiga ją, nie pozwala matce wpaść w zwątpienie. Czego nie osiągnęły morały pastora i djakonisy, tego dokonało poczucie obowiązku względem najbliższych swoich i mocna wola odwrócenia od nich kłeski. Autorka nie stawia też powyższych. Do wniosków dochodzi czytelnik sam, wskazuje tylko w życiu Siony chwile, w których ster złych rąk mógł być wywołać katastrofę.

Wpływy otoczenia, środowiska, dziedzictwa krwi, bujne życie złudą, pędzącą na rozstaje wobec braku kierunku, stanowią w powieści Myriam Harry dla pedagoga — wychowawcy niezmiernie obfity wątek rozważań, wskaźników, nici przewodnich postępowania — i temat do rozpraw, jak poczynać sobie z nadmiernie rozhułkaną fantazją dziecka, bardzo zdolnego, ale nie genialnego (wiersze Siony nie zdradzały najwyższego polotu), o mocno wybujałym temperamentem erotycznym, który przy zupełnym nieuświadomieniu spraw płciowych mógł ją być wpędzić w zasadzki bez wyjścia, czy miękka, łagodna dłoń kierownicza i bardzo subtelne wczucie się w psychikę dziewczynki nie powinny były w danym razie stworzyć mocnego kręgosłupa, który byłby tarczą ochronną w chwilach przełomu? — Czy zbyt napaśtliwa i zbyt widoczna walka z wyobraźnią nie zwraca jej w nieprzewidzianych a życiowo ujemnych kierunkach ubocznych? — Czy dla dojrzewającej dziewczynki lepiej, lub gorzej, gdy jest chowana w zupełnym nieuświadomieniu? — Te i tem podobne pytania nasuwa książka Myriam Harry. Dlatego polecić ją należy wychowawcom.

C. Walewska.

<sup>1)</sup> Uzupełnienie artykułu p. t. „Kształcić, czy zabijać wyobraźnię dziecka.“ ob. Bluszcz № 9.

<sup>2)</sup> Le livre de demain. Arthème Fayard et C-ie Editeurs. Paris.



# OPIEKA NAD DZIECKIEM

## OPIEKA SPOŁECZNA W ŁODZI ŻŁOBEK

Wchodzi się do zwyczajnej kamienicy przy ul. Tramwajowej na pierwsze piętro. Ale zaraz w kancelarji, na prawo z korytarza, człowiek przeistacza się zewnątrz, bo musi zdjąć palto i kapelusz, a włożyć biały, czysty kitel. I dopiero tak, na biało, wolno mu wejść do białego światła dzieci.

Jest ich około stu dwudziestu, w wieku od paru dni do dwóch lat. W białych salkach śpią, lub siedzą w białych łóżeczkach. A są to przeważnie podrzutki. Teraz, w tych czasach bezrobocia i nędzy, przybywa ich codzień po dwoje, po troje i więcej. Jednego dnia przyniesiono ich aż siedmioro.

„Żebyż tylko te biedne matki nie podrzucały ich tak byle gdzie, w jakiejś pustce, że potem trudno odnaleźć... Bo to nieraz muszą długo leżeć, zanim ktoś znajdzie, i tak im jest strasznie zimno... Jak przyniosą takie zmarznięte, zaziębione, to potem chorują, chorują i trudno dobrze odchowac...” — opowiada najstarsza Siostra, która nas oprowadza.

Siostra jest dobra. Dobra aż do dna, dlatego mądra. W podrzucających matkach uderza ją przede wszystkim i głównie to, że są biedne. Ta dobroć wytwarza specjalną atmosferę; nie można na to patrzeć bez wzruszenia.

Bo te podrzutki nie wyglądają wcale, jak podrzutki. Nic, a nic. Wyglądają jak „dzidziusie”, upragnione i kochane, którym matki posyły ładne sukieneczki białe z niebieskim obszyciem przy szyjce i rękawkach i osłoniły lampy różowymi abażurami w kształcie tulipanów. Łóżeczka, aż olśniewają białością, w posadzkach można się przejrzeć, jak w lustrze, a na oknach pełno kwiatów.

Mówię do Siostry, że dzieci wyglądają nietylko dobrze i czysto, ale i ładnie. Że jest nietylko wzorowo, ale miło i ślicznie.

— No, bo chcemy przecież, żeby te nasze dzieciaki wyglądały „jakoś” — odpowiada Siostra.

Martwi ją tylko, że co to będzie, kiedy dzieciaki dorosną i przyjdzie na nie chwila uświadomienia. Kiedy zrozumieją, że inne dzieci mają rodziców, a one nie. Że są opuszczone.

— Bo póki są malutkie, to pół biedy. Ale przecież taka chwila musi nadejść. A i teraz muszą biedaki ciągle siedzieć w swoich łóżeczkach, bo niema komu brać je na ręce, ponosić, pohańcać, poniańczyć...

Naturalnie, że niema komu. Na sto dwadzieścioro dzieci jest kilka Sióstr i kilkanaście mamek-nianiek. A z temi niankami to jest tak:

Siostry wyszukują po przytułkach połoźniczych matki z niemowlętami, niezamężne, bezdomne, bezrobotne. Zabierają je do Żłobka i jeśli się okaże po pewnym okresie obserwacji, że matka taka jest zdrowa i może karmić, to zostaje w Żłobku przy swoim własnym dziecku. Ale oprócz niego musi też karmić własną piersią inne dziecko, opuszczone przez matkę, musi też zająć się karmieniem sztucznym jeszcze dwojga, lub trojga podrzutek, dając im sterylizowane mleko i kleik, stosownie do diety, przepisanej przez doktora. (Karta ze szczegółowym przepisem dla każdego dziecka wisi na kracie łóżeczka). Matki przez cały dzień siedzą przy dzieciach na sali, a w nocy śpią w osobnych sypialniach. Siostra dyżurna budzi je, gdy przychodzi pora karmienia.

Rozmawiałam z taką młodą, wesołą matką-niańką. Zwróciłam uwagę na jakieś dziecko z ładnymi czarnymi oczami.

— Jakie to ładne — mówię.

— Tak. To śliczne dziecko — odpowiada — a jak się pani podoba to obok?

Coś mnie tknęło.

— To też jest ładne i miłe. I takie tęgie. A czyje to dziecko?

— To moje własne! I też ma czarne oczy!

Śmieje się, że i własne, i przybrane, i te troje, które karmi sztucznie — wszystkie czworo mają czarne oczy. A ona sama ma oczy niebieskie, jasne włosy, dwadzieścia lat. Dba bardzo o swoje dziecko, więc cieszy się, że będzie je mogła zostawić w Żłobku, gdy pójdzie do zajęcia.

— Nie mam matki, ani nikogo z rodziny, u kogobym mogła dziecko zostawić. Musiałabym dać „na garnuszek”, zmarnowałiby mi dzieciaka na nic. A tak, to już będę całkiem spokojna o niego...

Matki przebywają w Żłobku dziewięć miesięcy, dopóki nie wykarmią swojego i cudzego dziecka, ale dzieci mogą pozostawać tu dłużej, o ile nie mają dokąd ich zabrać. Przez te dziewięć miesięcy otrzymują, oprócz dobrego utrzymania, po dwanaście złotych miesięcznie. Po opuszczeniu Żłobka mogą odwiedzać swoje dziecko, ile chcą.

— Bo najwięcej chodzi nam o to, żeby się matki przyzwyczaiły do swoich dzieci, żeby się przywiązały do nich, żeby je pokochały... to przecież ich nie opuszczają! — mówi Siostra.

Ale tych „dzieci swoich matek”<sup>1)</sup> jest w Żłobku bardzo niewiele. Większość — to podrzutki. A te, gdy mają około dwóch lat, muszą ustępować miejsca innym. Muszą ustępować napływowi tych znalezionych na śmietniku, w bramie, na schodach, pod parkanem. Te „duże” idą dalej. Dalej — to znaczy do Zakładów przedszkolnych.

## ZAKŁAD WYCHOWAWCZY DLA DZIECI PRZEDSZKOLNYCH PRZY UL. KAROLEWSKIEJ.

Tu już jest inaczej. Dziećmi opiekują się Siostry Służebniczki z tego samego zakonu. Czystość ta sama — ale niema już tej ozdobności, tego starania, żeby „te dzieci wyglądały jakoś.” Personel jest mały, dzieci bardzo dużo, praca około nich ciężka.

Wchodzimy do zupełnie pustej i nadzwyczaj czystej sali i zatrzymujemy się zdziwione: pod ścianami stoją dzieci jednakowego wzrostu, jednakowo ubrane, krótko ostrzyżone. Stoją ramię przy ramieniu, jakby jakiś szlak na ścianie. Wyglądają, jak jedno i to samo dziecko w kilkudziesięciu egzemplarzach. Wszystkie patrzą na nas. Niektóre coś mówią. Po swojemu, niewyraźnie.

Przysłuchuję się. Czy być może? One mówią: „to moja mamusia”.

— Bo one zawsze tak mówią, jak tylko zobaczą jaką panią — objaśnia Siostra.

Co one mogą wiedzieć o swojej mamusi? Skąd im się to wzięło? Skąd one mogą wiedzieć o czemkolwiek na świecie te dzieci w czwartym roku życia, skoro dzień po dniu upływa im w tej pustej sali, pomiędzy podłogą, sufitem i czterema ścianami.

<sup>1)</sup> Tak je nazywają w Żłobku, w przeciwstawieniu do podrzutek: „dziecko swojej matki”.



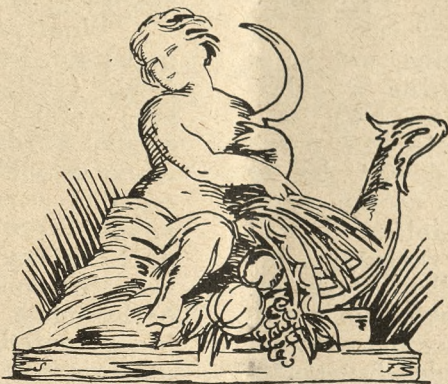
Za oknami rozciąga się błotnisty plac, dalej jakieś domy, jakieś kominy, kawał zadymionego, łódzkiego nieba. Ale one nie widzą tego, bo do okna nie mogą dostać — są za małe. A w pokoju niema żadnych sprzętów, żadnych przedmiotów, któreby można wziąć do ręki, obejrzeć, coś z nimi zrobić. Żadnych zabawek, żadnych rzeczy, kształtów, barw, form. W takiej sali spędzają całe dni, a zabawa ich polega na chodzeniu, bieganiu wkoło. Sypiają w innej sali, zastawionej łóżeczkami olśniewającej białości.

Bo czystość wszędzie uderzająca. Jedzenie dobre i obfite: kakao na mleku z bułką, rosół z kaszką, mięso mielone, jarzyny. Dzieci są czyste, syte i wyspane.

Ale niema zabawek! Niema tych obdartych, żalonych, a ukochanych lalek, koników z wyskubanym ogonem, klocków, z których powstają coraz to nowe rzeczy, szmatek, błyszczących papierków od czekolady, patyków, wózków z pudełka, ciągniętego na sznurku, tego całego aparatu, który wprowadzie zamienia w śmietnik najbardziej lśniącą posadzkę, ale za to stanowi cały wdzięk dzieciństwa! Małe palce nie zaciskają się koło żadnego skarbu, niema żadnych wrażeń, ani pragnień i najbujniejsza nawet czteroletnia wyobraźnia niema się o co zaczepić.

Pytam niańki, czy dzieci często płaczą.

— Nie, nie płaczą nigdy. Chyba, że są chore. Albo, jak im się daje obiad, czy śniadanie. Bo wtedy każde chciałoby pierwsze dostać.



Tak. Bo to jest najważniejsze zdarzenie dnia. Poza to nic się nie dzieje. Dzieci niczego nie chcą, bo nie wiedzą, że można chcieć. Nie są ani smutne, ani wesołe. Są żadne.

I dlatego, że są żadne, jedna, jedyna niańka wystarczyć może na szesnaścioro dzieci — jak n. p. w salce dla najmłodszych.

Przy zakładzie jest mały ogródek. Dzieci bawią się tam w lecie. Ale od jesieni, aż do wiosny nie wychodzą wcale na świat. Bo do tego trzeba by ciepłych ubrań, bucików, wózków i o wiele liczniejszego personelu.

— Gdybyśmy mieli taką wielką werandę z drewnianą podłogą i z dachem, to nawet bez wózków dzieci mogłyby codzień pobyc trochę na powietrzu. A jakże tu je wyprowadzić na to łódzkie błoto? — wzdycha siostra.

Więc muszą tak siedzieć aż do wiosny.

W sali dla najstarszych dzieci jest nieco weselej. Siostra uczy je gier, gimnastyki, czy ruchów rytmicznych ze śpiewami. Widać, że wkłada w to dużo pracy. Pięciu i sześciolatnie dzieci, co nic nie widziały i nic nie wiedzą, śpiewają poważne pieśni patriotyczne — z których nie rozumieją ani słowa — i nawet się nie pomylą!

I tak dochodzą do wieku szkolnego — i znowu muszą iść dalej — do Zakładu Wychowawczego dla dzieci szkolnych. Jest to właściwie Bursa.

Kończy się życie zamknięte, dzieci wychodzą na świat, do szkół.

*Helena Boguszewska.*

JADWIGA HANDELSMANOWA

## PO ZAMKNIĘCIU WYSTAWY PARYSKIEJ

### I.

W początkach listopada 1925 r. zamknięta została w Paryżu Międzynarodowa Wystawa Sztuki Stosowanej i Przemysłu Artystycznego. I oto pierwsze uogólnienie jakie się przy sprawozdaniu z niej nasuwa: wystawa tego typu jest już przeżytkiem zarówno z artystycznego, jak i społecznego punktu widzenia. Francuscy artyści dekoratorzy, zrzeszeni w kilku towarzystwach, wysuwali plan inny. Chcieli stworzyć całą nową dzielnicę gdzieś na peryferiach miasta, z domami mieszkalnymi różnych typów, kościołem, szkołą, teatrem, biblioteką, muzeum, słowem wszelkimi gmachami, jakich wymaga nowoczesne miasto, — ze skwerami, fontannami, pomnikami. Chcieli zapełnić te domy wystawowymi meblami, a przedmioty inne z zakresu sztuki stosowanej i przemysłu artystycznego wystawić w salach muzealnych, galerjach i sklepach. Zdawałoby się, że plan idealny — oto celowo zużyte olbrzymie fundusze, nowe mieszkania (po zamknięciu wystawy) dla zaspokojenia nie mniejszych, niż u nas potrzeb; gmachy nie czasowe, budowane z uwzględnieniem otoczenia. Ale — komitet wystawowy, jak każdy podobny, złożony w większości nie z artystów, — wynalazł ale: pu-

bliczność takiej wystawy nie będzie zwiedzała, bo to i daleko, i nudno, i oczywiście kosztów nie pokryje. Względy finansowe i stary konserwatyzm przeważały: wszystkie poprzednie wielkie wystawy obejmowały te same tereny, więc i obecna mieścić się będzie od placu Zgody wzdłuż Sekwany i od Grand Palais do Inwalidów. A wybór miejsca pociągnął za sobą mnóstwo przepisów krępujących twórczość architektów, przeznaczanie zaś wystawy dla szerokich mas obniżyło jej poziom.

Niesłychane tłumy zwiedzały ją przedewszystkiem wieczorem, gdy wszystkie prawie pawilony, zawierające dzieła sztuki były zamknięte, a wypełnione zato miejsca rozrywek i restauracje. Dominowały nad całą wystawą cztery olbrzymie wieże, które mieszczą w swych murach wina i likiery francuskie, most Aleksandra III-go pokryty został kramami. Wielki jarmark przygniótł — wystawę sztuki stosowanej.

Wielką wadą wystawy była zupełna jej bezplanowość w rozmieszczeniu eksponatów. Wszystkie działy cudzoziemskie rozrzucone zostały w kilku miejscach, co utrudnia niezmiernie orjentowanie się w twórczości poszczególnych narodów. I francuski dział



pod tym względem przedstawia się nie lepiej: czy to będą meble, czy suknie, porcelana, czy tkaniny; jeśli ktoś się jednym z tych działów interesuje, musi biegać po całej wystawie i w różnych pawilonach ich szukać, przyczem trafiają się ciągle niespodzianki. Taki Lalique np. ma własny pawilon, sklep na moście, i urządzoną przez siebie jadalnię w pawilonie Sèvre'u, najpiękniejsze zaś chyba malowidło ściennie p. t. „Wino“ odkryłam w wieży, poświęconej winu bordeau. Mimo, iż byłam kilkanaście razy i przygotowywałam się starannie, studjując plany i katalogi, nie widziałam całego mnóstwa interesujących mnie rzeczy. Wystawa, zapowiedziana jeszcze przed wojną, a której termin kilkakrotnie odsuwano, tworzona była pod hasłem sztuki nowej i najnowszej. Żadnych kopji, żadnych woływów dawnych. Ale czyż może powstać dziecko bez matki, jeżeli niema być sztucznym twórcem, i takie też sztuczne wrażenie wywierają te najnowsze architektoniczne pomysły. Konstrukcja i celowość, oto hasła nowej architektury; na wystawie zaś widzimy przedewszystkiem chęć „épafer le bourgeois“ i dużo cudactwa. Przyczynia się do tego i sam charakter budynków: nie są to w większości swej, ani domy mieszkalne, ani gmachy publiczne, które komponować można w zależności od ich przeznaczenia, ale pawilony wystawowe, coś co w życiu nie istnieje, coś przejściowego, czego nie warto mocno budować, bo za pół roku zniszczyć i tak trzeba, lecz co ma przyciągać oko, zwracać uwagę przechodniów. I stąd powstają bynajmniej nie „celowe“ wieżyczki, jak w pawilonie turystycznym arch. Mallet-Stevens'a, jak ukośne schody w pawilonie rosyjskim, lub służące jako dekoracja ogrodowa, stylizowane drzewa z żelazo-betonu; jak brama na placu Zgody—8 ustawionych w krag czworobocznych słupów, czyniących wrażenie olbrzymich kominów. Przytem, być może, że budynki te wyglądałyby inaczej, gdyby miały tło odpowiednie i stanowiły odrębną całość, ale pawilon turystyczny na tle Grand-Palais, i owa brama właśnie na placu Zgody muszą razić.

O wiele też lepiej wyglądają wieczorem, gdy umiejętnie wyzyskane oświetlenie ukazuje zupełnie niespodziewane efekty, tworząc sklepienie nad słupami bramy, wydobywając na jaw kontury budowli, lub ostre cienie podkreślając ornament.

Z pawilonów cudzoziemskich na pierwszy plan wysuwają się duński, z cegły i cementu, budowany w wielkie bloki, z czterech stron przecięte wysokimi otworami drzwi i okien; holenderski również z cegły z wysokim dachem i ładnie pomyslanymi basenami przed wejściem, szwedzki—jasny i prosty, nieco przypominający empire i polski, o którym obszerniej pomówię.

Bardzo też miłe wrażenie robi skromny i bezpretensjonalny pawilon Jugosławji. Najlepsze miejsca, na placu wprost głównej bramy, zajmują cztery mocarstwa aljanckie. O pawilonie angielskim wolę nie pisać, włoski i belgijski zupełnie banalne, japoński — jest bardzo japoński i trudno o nim poza tem coś więcej powiedzieć. Niepodobna opisywać, a choćby wyliczać wszystkich znajdujących się na wystawie gmachów. Reasumując, powiedzieć muszę, że jednak te nowe, nieraz cudaczne pomysły, mieszczą w sobie zarodek stylu, który powstać może

w latach najbliższych, oparty na tych samych hasłach konstrukcji i celowości, ale stosowany naprawdę do życia, pragnący nie tylko zadziwiać, ale także podobać się i ująć.

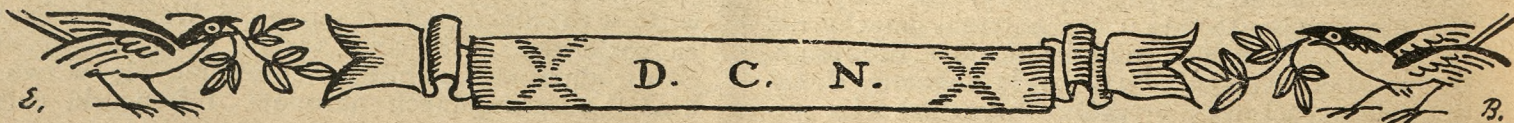
\* \* \*

Nacisk, jaki położono na handlowy i przemysłowy charakter wystawy, był powodem triumfów sekcji polskiej i jej niepowodzenia. Triumfy, i to zasłużone, zdobyło kilku artystów, porażkę poniósł nasz przemysł artystyczny. Każda z sekcji cudzoziemskich rozmieszczona była w kilku, sekcja polska aż w 5 miejscach, z tego 3-y działy były postawione doskonale, dwa — poniżej wszelkiej krytyki.

Więc przedewszystkiem pawilon reprezentacyjny, projektowany przez J. Czajkowskiego, ze swą szklaną wieżyczką, może niezupełnie dobrze związana z całością, przedstawiał się jednak bardzo ładnie, zwłaszcza od strony fasady głównej. Doskonale rozmieszczone 3 wielkie okna (portes—fenêtres), obejmujący całą fasadę fronton, spokojna, geometryczna dekoracja rozwiązywały całość bardzo szczęśliwie.

Wnętrze zaś było z wszystkich pawilonów chyba najlepsze. Po kilku schodkach, przez wrota z kutego żelaza (wyk. p. fabrykę W. Gostyńskiego w Warszawie) wstępowało się na niewielkie podwórze. Pośrodku bardzo piękna rzeźba Kuny „Rytm“, może nieco za wielka na tak małe podwórze, ale tak harmonijna w ruchu, że się o tem zapomina; z dwóch boków kryte galerje, wsparte na czworokątnych słupach, ściany zdobione przez Jastrzębowskiego, doskonale skomponowanymi sgrafitami, które wyobrażały herby miast polskich. Stąd wchodzi się do niewielkiego przedsionka, gdzie uwagę głównie skupiają umieszczone po bokach witraże Mehoffera (wyk. p. G. Żeleńskiego w Krakowie). Gorące i mocne w kolorze, z przewagą czerwonych i żółtych tonów są to bezsprzecznie witraże najlepsze na całej wystawie.

Z przedsionka wchodzi znowu już do wielkiej, ośmiokątnej sali ze szklaną wysoką kopułą, wspartą na wysmukłych, ciętych w czarnym dębie słupach, z posadzką drewnianą, ułożoną w wielką dekoracyjną gwiazdę, (wyk. p. braci Rudolf w Warszawie). Ściany pokryte kartonami Stryjeńskiej, wyobrażającymi miesiące roku i związanymi z niemi pracami, obrzędami i zabawami, jak zawsze u tej artystki z wielkim rozmachem, nadzwyczajną fantazją i bogactwem szczegółów dekoracyjnych. Wielkie ławy i stoły, stojące pod ścianami, prześliczne lampy, a raczej kinikiety, umieszczone u szczytu słupów, górne światło lejące się przez szklaną kopułę — wszystko składa się na całość odrębną i oryginalną. Bije w tej sali młodość i życie, zadziwia jej prostota i wielki umiar. Poza wielką salą mieści się gabinet, przedzielony po środku przejściem, lub jeśli kto woli dwa wnętrza. Ściany pokryte prostą, lecz efektowną lnianą tkaniną, robiącą wrażenie makaty, tkanej złotem, ładna dekoracja sufitu, kominek z marmurów kieleckich, meble projektowane przez J. Czajkowskiego i Jastrzębowskiego (wyk. p. Sroczyńskiego w Poznaniu), przeznaczone do jakiegoś „oficjalnego“ gabinetu, obite dobrze skomponowanym cienkim kilimem, może trochę za ciężkie, zwłaszcza w tem niewielkim pomieszczeniu, lecz oryginalne, szczególnie zaś są ładne okrągły stół i biblioteka.





JANINA BRZOSTOWSKA.

## ADAM

Raz spojrzaly wstecz jego oczy  
by pożegnać raj niełaskawy.  
Dziś najdalej już od niego odszedł,  
i zatracił wszystkie z szczęścia praw.

Na swych barkach pochylony nisko  
dźwiga ciężar niezmierny przekleństwa,  
przez wygnania drogę kamienistą  
co się życiem zwie—idzie wśród kłesk.

A jednakże bólem niezłamany  
w sercu nosi wiarę w żywot wieczny,  
przyrzeczony niegdyś u tej bramy,  
z której wywiódł go ognisty miecz.

I nie poto pragnie tak gorąco  
przetrwac lata swej niedoli długie,  
by tam wrócić jeszcze, lecz tęsknotą  
jego cel jest ostateczny: Bóg.

## EWA

Niema raju już, jest tylko ziemia—  
za zasłoną nieba daleką  
Bóg się ukrył w tajemnicy cieniach—  
tak już będzie za wiekiem wiek.

I choć nieraz uśmiechem łaskawszym  
błyśnie losów kabała, jak żartem,  
szczęścia, coby umiało trwać zawsze,  
nie wyróży żadna z kart.

Więc tęsknotą nawet nie trzeba  
daremnie po nie sięgać,  
tylko brać z ziemi i nieba  
tchwil mijających wdzięk,

zrywać jabłka radości wszelkich  
zanim przyjdzie zejść do mogiły—  
o grzech taki niewielki  
wobec tego, który pierwszym był.





HELENA CEYSINGERÓWNA

## MYŚL O TEM CO CHCESZ

(nowela)

6

— Bronka! — podeszła do niej pani Marja — ty wiesz, że nigdy złego nie życzyła ani tobie, ani twoim dzieciom. Może to być, że słowa, wyrzeczone w takiej chwili, mają moc. Nieprzytomna byłam! Nie pamiętam! Ale też, choćbym chciała, cofnąć nie mogę. I choćbym rzekła to słowo, jak chcesz, coby pomogło?! Usta by tylko wymówiły, nie dusza. A choćbym i z duszy przebaczyła swoją krzywdę, czy mam moc przebaczyć spalony zaścianek i lzy gorzkie zesłańców?! Co?! Ale też to ci powiedziec muszę, że niema w duszy mojej przebaczenia dla niego. Dusza jest pani władna i czyni, co chce! Ona karze — rozumiesz! Tam, gdzie niema sądów, niema sprawiedliwości i niema pomsty, ona sędzi i ona się mści! Po waszej stronie — siła i moc i prawo obce! Idźcie do żandarmów! Jużście tam chodzili przecież ze skargą na moją duszę! Ześlą nas, odbiorą majątek — ucieszycie się!

— Idźcie, dokończcie waszej piekielnej sprawy!

— Jam gotowa na wszystko!

— Ale duszy mojej nie złamiecie i nie ubłagacie!

— Będzie chodziła za wami dzień i noc!

— Będzie wam patrzyła w oczy! będzie, będzie i tu i tam!

— Powiedz ojcu twemu, Bronka, że go szukać będę.. po tamtej stronie, rozumiesz. Pierwsza dusza, którą spotka, będzie moja dusza! moje rozdarte serce!

Teraz kobieta uklękła przed nią.

— Pani! Marylko! panienko ty moja, jasna! Ja wiem, że krzywda twoja wielka, a zbrodnia tego starca, jak niemasz drugiej na świecie. Ale oto przyszedł ofiarować się tobie za niego.

Powiedziałam sobie, wezmę ten grzech jego na moje sumienie, bom córka. Wywrzej ty na mnie zemstę, jaką chcesz, ale temu staremu człowiekowi przebac! Zrozum ty, że największe nieszczęście na tym i na tamtym świecie — to zbrodnia! Ty masz serce rozdarte, ale sumienie czyste i choć bolesna, chodzisz w jasności dnia, a on! Boże ty mój! On wciąż, wciąż w czarnościach nocy!

— Bronka! szalona jesteś, jak zawsze byłaś. Nikt nie może wziąć na siebie winy cudzej, rozumiesz, nikt!

Nie chcę ja wywierać zemsty na tobie, ani nawet na nim! a co się dzieje, dzieje się poza mną. To, co mówiłam przed chwilą, mówiłam w uniesieniu.

— Przed chwilą przemówiła przez ciebie dusza. I to już widać tak być musi i my przekłęci na wieki!

Umilkła, posępnie wpatrzona w myśli swoje.

Po chwili rzekła miękko!

— Panienko, Marylko, ale ty dzieci swoje strzeż!..

On też ma siłę.

— Grozisz mi?

— Och, nie grozę ja tobie, ale we mnie serce na strzepy się rwie, bo on graży się coraz bardziej w tę noc czarną. Zniżyła głos do szeptu — z czartem praktyki ma, w starych księgach czyta... maści warzy, smaruje się...

— Tak? — rzekła pani.

— Na dzieci twoje — strasznie zawzięty, za to wnuczę swoje, bo to już było ostatnie, co on ko-

chał na świecie. A dzieci twoje takie wątłe, takie nikłe, jak pajęczynki...

Zosia to nawet do panicza trochę podobna, tak w spojrzeniu...

— Idź już, Bronka! — z wysiłkiem rzekła Marja — idź do pani starszej, ona ci na biedy twoje poradzi. Ja nie mogę zrobić tego, co chcesz i na nic by się nie zdało. Niema we mnie przebaczenia, a jak niema we mnie, to usta puste tylko mówiłyby słowa.

Kobieta otuliła się znów chustką i rzekła.

— Że ci choć do mnie na chwilę zmiękło serce — Bóg zapłać!

I odeszła.

A pani Marja rzuciła się na sofę, twarz bladą zakrywając rękami.

Znużona, jak po najcięższej bitwie, cicho wysunęłam się z pokoju.

W parę dni potem, nie pamiętam już z jakiej okoliczności, prosiła mnie babunia.

— Niech pani strzeże naszych dzieci! Niech pani czuwa nad niemil!..

Cóż takie dzieci — dodała — urodzone w nieszczęściu... na nieszczęście skazane!..

Do Bożego Narodzenia był spokój. Nawet rozpogodziła się trochę atmosfera domowa. P. Tomasz naprzywoził z Warszawy podarków gwiazdkowych. Mnie chciano widocznie okazać szczególną życzliwość, bo od każdego z dzieci i ze starszych otrzymałam pamiątkowe upominki, a załatwiono to z taką delikatnością, tak serdecznie, gdy w innych domach momenty takie nie należą zazwyczaj do najprzyjemniejszych!

Największą radość jednak sprawiły mi dzieci same. W dzień wigilii wpadły z rana do mego pokoju, niosąc kolosalny bukiet gdzieś, w jakimś zaciszu uchowanych przed mrozem, jarzębin, kalin i głógów. Były i zielone pióra paproci i gałązki bluszczów leśnych.

Myślały, że śpię jeszcze i chciały sprawić mi niespodziankę. Ale nie spałam i krzyknęłam z radości na widok tych skarbów. I dzieci, i rośliny były takie leśne, takie świeże i dzikie!

— To, żeby pani nawet w zimie wszystko kwitło i zieleniło się! — wołały, pierwszy raz rzucając mi się na szyję.

Byłam uszczęśliwiona. I tylko niepokoiła mnie myśl, jak to będzie przy wigilii. Przecież to w Polsce chwila wspominać...

Ale z twardymi ludźmi miałam do czynienia.

Przy dzieleniu się opłatkiem, z niczyjej piersi nie usłyszałam nawet westchnienia. Ja jedna tylko miałam lzy pod powieką...

Zdzisław nie przyjechał! No, ale to już nie należy do tej historii!..

Panna Klementyna zamilkła na chwilę, potem ciągnęła dalej:

„Sądziłam, że wieczór wigilijny minie spokojnie. Wprawdzie obie panie udawały raczej, że jedzą, niż jadły rzeczywiście, ale rozmawiały ze mną i z dziećmi pozornie bez przymusu. Babunia zdobyła się nawet na barwne opowiadanie jakiejś wigilijnej przygody z wilkami. „A było to wtedy, gdy Tomek był jeszcze małym dzieckiem”. Władzia i Zosia zabawiła niezmiernie myśl, że ich olbrzymi ojciec był



takiem maleńkiem dzieciatkiem, w poduszce. Ja sama słuchałam ciekawie, bo przeżycia babuni występowały zawsze w jej opowiadaniach bardzo plastycznie, gdy nagle, spojrzawszy w okno, głośno krzyknęłam...

Za szybą stało widmo ludzkiej twarzy...

Zerwała się pani Marja i zasłoniła sobą dzieci.

— Odejdź! — rzekła głucho do widma, a w oczach jej było tyle skupionej woli, że nie wątpiłam już, iż to pod wpływem jej nakazu widziadło rozwiewa się, blednie i w mgłę rozpływa. Bo tym razem widziałam wyraźnie, że twarz ta nie odsunęła się od okna, ale stopniowo zatracala kontury, rozwiewała się, jak mgła.

Pan Tomasz otworzył gwałtownie oba, po zimowemu zaopatrzone i zabite okna, i wychyliwszy się, wskazał mi świeży, niczyją stopą niezdeptany śnieg.

— Einhorn miałby znów argument przeciw pani. Tu nikogo nie było.

— A więc przywidziało mi się tylko — zawołałam, śmiejąc się głośno. Chodźmy zapalić choinkę!

Uznano, zapewne ze względu na dzieci takie postawienie sprawy za najodpowiedniejsze i wszyscy przeszliśmy do salonu, gdzie iarzyła się już choinka i stara rezydentka jednym palcem wybierała na fortopianie kolędę.

— Ot znów zagadałam się — przerwała sobie nagle panna Klementyna. — Już jedna sta! Patrz, herbatę nam przynieśli, a myśmy nawet nie zauważyły. Ostygła!

— No rozumie się. Ale mam maszynkę, można odgrzać.

Cichuteńko, żeby nie pobudzić gderliwych koleżanek przygotowałyśmy i wypiliśmy herbatę, poczem rzekła jeszcze sędziwa moja przyjaciółka.

— „Przyznam ci się, że od tamtych czasów nie lubię spoglądać wieczorem w okna, zwłaszcza na wsi i w porze zimowej.“

„W drugim półroczu pobytu mego w Załesiu zrobiłam się dziwnie wrażliwa“ — tak zaczęła panna Kle-

mentyna dalszy ciąg swej opowieści. „Widocznie od- działała na mnie atmosfera starego dworu. Dzieci wydawały mi się „jak pajęczynki“, a nawet całe życie rodziny Wazgirdów było w moich oczach pajęczyną, która lada brutalna dłoń wnet rozerwie.

W tym czasie uciekałam wraz z dziećmi z tego ponurego domu na pola, w lasy, na wybrzeża zamarznętej Szczary.

Zima była tego roku niezbyt mroźna, a słoneczna i śnieżna, dzieci zahartowane, więc tylko, co najkonięczniejsze z lekcyj odbywaliśmy w mieszkaniu, a wszystkie godziny pogadank, konwersacji i t. d. przeniosłam na świeże powietrze, na słońce, rozumując, że tym dzieciom, chowanym w ponurej atmosferze politycznego i rodzinnego tragizmu, potrzeba jak najwięcej słońca, ruchu, a przede wszystkim radości, jak najmniej obcowania ze starszymi, a zwłaszcza z matką.

W wycieczkach naszych omijaliśmy starannie Chodzievicze, zaścianek, w którym ze wszystkich dawnych mieszkańców pozostał jeden tylko Syruc, a na miejscu spalonych osad zesłańców powstały za rządowe pieniądze, w rosyjskim stylu ludowym, budowane chaty „starowierów“.

I jakoś udawało nam się unikać spotkania ze zbrodniczym starcem.

Dzieci przy tym systemie poweselały, zrobiły się podobniejsze do wszystkich dzieci na świecie, podrosły trochę i dostały rumieńców.

Po tych długich zimowych spacerach, nałykawszy się zimnego powietrza, woni jodeł, świerków i mchów na oparach, szło się spać wcześniej, a znużenie i upojenie brało górę nad wszystkim. Przychodził zdrowy, mocny sen, bez marzeń i widziadeł.

Nie słyszało się skrzypień podłogi, ani kroków po pustych pokojach, ani szepotów i westchnień, płynących z wnętrza, z głębi, z tajemniczego ośrodka starego dworu.

Podczas wycieczek tych, mnie, mieszczkę nauczyły te dzieci wsi rozumieć i kochać przyrodę. (c. d. n.)



MAGDALENA SAMOZWANIEC

## MARGRABINA DE BOIS DE BOULOGNE

6

(Groteska w 3-ach aktach).

ANTONI. (który dreptał po pokoju i łapał muchy, zbliża się) E, proszę pana. Ktoby się tam tak martwił. Antoni mówią tak: nie szukać, a znaleźć się. Nie pytać, a wrócić. Zobacz pan. Nie minie tydzień, a Jaśnie Pani będzie w domu. Odpocznijmy sobie wszyscy, nie szkodzi. Od hrabiego Łosia to hrabina co roku uciekała, ale zawsze wracała, bo jej nikt nie szukał. Widzi pan: żona — jak to żona. Narzyczy, nabeszta człowieka, kosztuje, nie dobrego człowiekowi nie robi — ale zawsze... z drugiej strony: żona. Naje się przez to człowiek przykrości, ośmieszy się, poróżni to człowieka z ludźmi — ale zawsze — z drugiej strony: jest (Przechodzi, wracając dziewczynka, z pudłem).

ADZIK. (wzruszony). Święte słowa Antoniego. Kochany, dobry Antoni. Jedyny do rady. Przyjacielu! (ściska mu rękę). Tak, trzeba przeczekać to wszystko (wchodzi Francuzka w nowej sukni).

FR. (przeciągając się). Ah, enfin seuls! Eh bien?

ADZIK. (wstaje i mówi zmieszany). Droga Margrabinko... Pani wie, jak chętnie byłbym panią ugościł u siebie, bo przecie człowiek nie jest z kamienia. Wzruszyła mnie pani, ujęła swoją bezradnością, swoją szczerością z którą się pani przyznaje do swojej świetnej przeszłości... Ale cóż — żona moja mnie opuściła... nie możemy być sami pod jednym



dachem, rodzina pani mogłaby mieć do mnie pretensje w Paryżu...

FR. (*zalotnie*). Cher cornichon! Po co tyle gadania! Ja wiem que c'est l'amour, wiem, że pan mnie kocha.. Hélas! Czemu pan nie jest z mojej sfery! Ja nigdy nie kochał nikogo, tylko hrabiowie, marquis.. Mais, enfin zrobić wszystko, co mogę dla pana.

ADZIK. (*zashoczonny niemile*). Nie przyszło mi to dotychczas do głowy — Bóg mi świadkiem... Ale skoro pani tak mówi... coś musi w tem być. Ciekawe.

FR. Seigneur Dieu, jak pan na mnie patrzy! (*zakrywa oczy, poczem rzuca się na Adzika z pocałunkiem*)

ADZIK. (*pocałowany*). A do djabła. Tego się nie spodziewałem. Jaka pani dobra, margrabino... czemu mnie pani całuje? Za co? To co zrobiłem dla pani, zrobiłby każdy na moim miejscu... Ale ja właściwie powinienem się przenieść do pensjonatu z żoną, żeby pani była swobodniejsza — co do tego niemowy — lorda to był zwykły żart mojej żony — jej nie można wierzyć niestety.

FR. To nie, nie przeszkadza mi pan, może pan zostać, jak u siebie w domu. Bardzo proszę. A teraz nie traćmy czasu i faisons notre leçon. Lekcję. Pan pamięta co było wczoraj?

ADZIK. (*z dumą*). Pamiętam: Cailloux, choux, genoux, hiboux, joux, poux.

FR. Doskonale. Pan bardzo inteligent. A teraz zrobimy une dictée. Tylko proszę wziąć sobie nowe pióro. C'est ça. Allons-y. Kajet jest? Dobrze. Eh bien? Na co czeka?

ADZIK. No, na dyktando. Tu jest książka francuska.

FR. Aha, prawda. Bon. (*czyta z książki*). Voilà le printemps.. printemps.. Les oiseaux gazouillent dans le bocage.. bocage — albo — attendez — non! Napiszemy jako dyktando list. Proszę: „Trés — chère Nanette — Je t'aime. — Je te désire — (*c'est ça*). — Je te fais don de toute ma fortune. — Je — te — promets — de t'épouser, je te le jure. Ton fiancé“.

Adam.

ADZIK. (*głośno tłumaczył na polskie każde słowo i jest ubawiony do żywego*).

Ha, ha, ha, ależ margrabinka ma pomysły! W życiu takiego listu nie napisałem! (*zacięra ręce*).

FR. (*Poważnie*). Teraz proszę: Data i podpis.

ADZIK. Którego dzisiaj mamy... aha, 5-tego. Dobrze. (*podpisuje się; Fr. ogląda i chwycił list do kieszeni*).

FR. No dziękuję, merci mon cornichon chéri. No a teraz w nagrodę wolno mnie pocałować. (*nadstawia pyszczek*).

ADZIK. (*szlachetny*). Nie, nie, to nie! Znadto szanuję margrabinkę! Nie nie, może jutro! Jutro! W rączkę to chętnie owszem, to, to mogę.

FR. Dieu, quelle poire! Ça ne se voit pas chaque jour! (*pokazuje mu język i wybiega*).

ADZIK. (*Do publiczności zdumiony*). Pokazała mi.. pokazała mi francuski język?

Kurtyna.

AKT III.

(*Pokój Adzika. Na ścianie kolekcja motyli. Biurko. Ceratowe krzesła. Papiery, książki. Kosz na śmieci. Szafy. Nudziarstwa. Adzik siedzi z głową w rękach. Zmęczony. Postarzał się. Nerwowe dźwięczenia na głosy za drzwiami. Wchodzi przyjaciel Adzika Marjan Zdrowy młody człowiek, przyzwoicie ubrany. Adzik wita go zbladym uśmiechem chorego.*)

MARJAN. Serwus Adamie kochany, serwus. Cóż tam słychać?

nigdzie cię nie widać.. Podobno się coś u was pokiełbało.. parówki z chrzanem, co?

ADZIK. (*przybity*). A no parówki, niema co tać, mój drogi, parówki. Dobrze, żeś przyszedł, bo jestem już chory z tego wszystkiego. (*Marjan siada w fotelu*).

MARJAN. Wszystko to poszło podobno o jakąś francuzkę, w której się zakochałeś.

ADZIK. JA? Nie znasz mnie. Gdybym miał się w kim zakochać byłbym się już chyba dawno zakochał we własnej żonie. Widocznie jestem do tego niezdolny. Bo się nie zakochałem w niej.

MARJAN. (*mentorsko*). Tak, ale niemniej daruj Adamie, ale takich rzeczy się nie robi. Twoja żona opuściła dom przez tę jakąś lafiryndę. Jak możesz na to przystać? Czyż żona Adamie nie jest pierwsza?

ADZIK. (*zmartwiony*). Mój drogi! Moja żona jest tego samego zdania, ale ja sam najgorzej wpadłem... Trudno. Człowiek ma ludzkie serce. Nie mogłem tego biedactwa zostawić na bruku, bez dachu nad głową. Moja żona powinna cenić we mnie te zalety przynasz rzadkie, któremi są serce i.. jeszcze raz serce. Nieprawdaż? Zresztą, ona się mnie trzyma, jak tonący brzytwy... ta francuzka. Bo jest ciwilowo sama na świecie. W dodatku zakochała się we mnie, tak, ja mam teraz obowiązki. Moja żona nie chce tego zrozumieć, że ona mnie kocha. Nie wierzy w to. A przecież sama ongiś też zakochała się we mnie. Mój kochany, uważać, że nie może być drugiej równie niemądrej, jak ona, to jest przeproszam cię, zarozumiałość! Tak, to pierwsza miłość tej biedaczki. Trzeba mieć serce.

MARJAN. (*surowo*). Adamie, Twoje serce, to poprostu niedołęstwo i próżność — mnie nie zwracaj głowy twoim sercem. Cóż myślisz robić?

ADZIK. Nic. Trzymam się od niej zdaleka. To wszystko co dla niej mogę zrobić.

MARJAN. A ona ładna przynajmniej?

ADZIK. (*żywo*). O ładna, rasowa, widzisz. To są rzeczy nieokreślone. Tego naprzykład niema moja żona. Cieniutkie w kostce rączki, cienkie jedwabne pończochy. Rasowa. Ale ona mnie ładna dzień opuści. To nie jest dla niej życie. Nie mogę jej ofiarować tego zbytku, do którego była przyzwyczajona od dziecka.

MARJAN. Jakto?

ADZIK. To ty nie wiesz? To jest mój kochany wielka pani Markiza de Bois de Boulogne (*skromnie*). Anaïs jej na imię.

MARJAN. (*wykrzywił się*). Jak? Ananas?

ADZIK. Nie, skąd, Anaïs. (*skromnie*), nazywają ją Nanette.

MARJAN. (*z życiem*). Słuchaj, czy to taka mała, ruda, piegowata, ma dwie brodawki i pierścionek z widoczkiem Mentony?

ADZIK. Tak, tak, ale już go nie nosi (*z westchnieniem*), kupiła sobie inny.

MARJAN. (*rozsiała się wygodnie i zapala papierosa*). No to wiedz, mój Adamie, że ona była u nas, kiedyśmy byli mali.

ADZIK. (*zdumiony*). W Hupczycach? (*wstaje*).

MARJAN. Tak jest. W Hupczycach. Będzie ze 20 lat temu. Ona musi mieć dobrze po czterdziestce! Tylko te dranie to się nic nie zmieniają.

ADZIK. (*już uwierzył*). Proszę cię, wyrażaj się z większym uszanowaniem o starszej kobiecie, któraby mogła być twoją matką! (*siada*).

MARJAN. Przypominam sobie! Ta sama historia! Bois de Boulogne. Tylko nikt jej nie wierzył. Potem były jakieś dramaty z ekonomem.

(c. d. n.)





RUDYARD KIPLING

## PODOBÓJ SIEDZIBY

10

(AN HABITATION ENFORCED)

— Wszystko to dla nich zupełnie naturalne... kruszą się, jak gałązki, co lecą z drzewa, choć wiatru niema... Nie, nie było w tem nic przerażającego, tylko o Jerzy! Ta jego laska, badył ubogi między biednemi, wyschłemi kolanami!.. Nie mogłabym była znieść wycia tego psa... Nie myślałam, że wikary jest tak subtelny... Obawiał się, że jestem zanadto pod wrażeniem... Pani Betts mówi mi, żeby iść do domu, a ja omal nie zemdlałam u niej na podłodze. Ale się nie skompromitowałam, prawda? Przecież nie mogłam go tak zostawić samego?

— Czy paniusi nie stało się co złego? — Wołała pani Cloke, do której doszła już nowina zapomocą telegrafu domowego, starszego, lecz dużo szybszego, niż iskrowy.

— Zupełnie dobrze się czuję.

— Niech pani poleży do podwieczorku. Oni bardzo będą paniusi wdzięczni — mówiła, gładząc ją po ramieniu, — choć, po prawdzie, to już dwadzieścia lat jak się pokłócili i nie żyją z sobą.

„Oni” przysli przed wieczorem: czarnobrody mężczyzna, dostatnio odziany i kobiecina, trochę ułomna, rozświegotana, jak szczygieł.

— Jestem jego synem, — mówił czarnobrody do Zosi, stojącej pośród krzewów lawendowych, — trochę poróżniliśmy się przed laty, ale to niemniej mój ojciec i bardzo Pani dziękuję za czuwanie przy nim.

— Rada jestem, że właśnie znalazłam się w tej chwili — odpowiedziała Zosia, z głębi serca czując, że mówi szczerą prawdę.

— Słyszeliśmy, że ciągle opowiadał o państwie, jak państwo przyjechali i zaglądali do niego. Ślicznie dziękujemy.

— To może syn Igguldena, ten co był w Ameryce?

— Ten sam. Pracowałem na farmie mego wuja w Connecticut. Był on tam dozorcą drogowym.

— Gdzie w Connecticut? — Pytał Jerzy przez ramię żony.

— Veering Holler. Sześć lat tam służyłem u wuja.

— Jaki świat mały! — Wykrzyknęła Zosia. — Rodzina mojej matki pochodzi przecież z Veering Holler. Pewnie tam są jeszcze Lashmarowie. Może słyszeliście o nich?

— Zdaje się, że słyszałem to nazwisko — odpowiedział, ale twarz jego nie wyrażała żadnego zainteresowania.

O zmroku jakaś niewiasta cała na popielato, z dużym drągiem na ramieniu, maszerująca, jak grenadier, wtargnęła do sadu i, nadchodząc z chrzęstem łamanych gałązek, głośno dopominała się o coś do zjedzenia.

Jerzy, na którego ukazanie się znienacka postaci tak wybitnie angielskiej podziałało w sposób piorunujący, pomknął do saloniku. Pani Cloke wyszła naprzeciw cała promieniejąca, zamykając odwrót Zosi.

— Dopiero co dowiedziałam się — mówiła obca pani, zwracając się do tej ostatniej — cały dzień polowałam z psami na wydry... to było szczerze po sportowemu...

— Czy pani co zabi... upolowała? — Zapuszczała się Zosia nieśmiało na teren znany jej tylko z książek.

— Tak, pyszną sztukę. Samica, siedemnaście funtów wagi. — brzmiała odpowiedź. — Prawdziwie sportowa rzecz ze strony pani. Biedny stary Iggulden.

— Ach tak! — Rozjaśniło się nagle w Zosinej głowie.

— Nie zdarzyłoby się nic podobnego, gdyby ktokolwiek mieszkał w Pardon i doglądał starego. Ale czego można się spodziewać od bandy spadkobierców i ich londyńskich adwokatów.

Tu pani Cloke poszeptowała coś poufnie.

— Nie, nie. Do kolan jestem przemoczona. Niech tak dłużej postoję, gotowa grypa. Pani mi da szklankę herbaty i kawałek chleba z masłem na drogę.

Jedwabną, kolorową chusteczką ocierała twarz, zniszczoną długotrwałym wystawianiem na zmiany atmosferyczne.

Jak pani rozkaże! — Tu pani Cloke pobiegła i powróciła jeszcze szybciej.

— Nasze grunta graniczą od południa z gruntami Pardon na przestrzeni całej mili — ciągnęła obca pani. Napełniona filiżanka dygotała jej w ręku. — Tyle jest roboty z własnymi ludźmi, że nie mam czasu bawić się w raubszycza na cudzem terytorjum. Jednak, gdybym przypuszczała, napewno byłabym posłała do starego moją Dorę. Czy pani jej nie widziała dziś po obiedzie, pani Cloke? Nie? Obawiam się, czy dziewczyna nie zwichnęła sobie nogi. Dziękuję pani!

To ostatnie z powodu potężnej kromy chleba z szynką, którą podała pani Cloke.

— Wracając do tego, co mówiłam, Pardon to jeden skandal. Jak można dopuścić, żeby człowiek zdychał, jak pies pod płotem. Powinni we dworze mieszkać ludzie, którzyby spełniali swoje powinności. Pani postąpiła, jak się należy, choć to nie było cieniem pani obowiązku. Dobranoc. Jak nadejdzie Dora, proszę jej powiedzieć, że poszłam do domu.

Odmaszerowała sążnistym krokiem. Zosia pomknęła co tchu do saloniku, potrząsając do głębi przejętego Jurka.

— Czemu siedzisz schowany i podglądasz mnie, zamiast wyjść i zachować się, jak powinnoś nakazuje?

Byłbym nie wytrzymał i parsknął śmiechem. Czy widziałas, że miała policzek umazany błotem?

— Spojrzałam raz, bo drugi nie śmiałam. Któż to taki?

— Boże mój. Jakieś miejscowe bóstwo. Też jedna z rzeczy, którą spodziewają się po tobie, że instynktem odgadłaś.

Pani Cloke, mocno zgorszona lekkomyślnością młodych, opowiedziała, że obca pani to lady Connant, żona sir Valtera Connant, wielkiego właściciela ziemskiego z okolicy, Opatrzność Boża wcielona. Sprowokowana przez Jerzego przeszło godzinę rozprawiała o rodzinie Connantów.

Później w swoim pokoju pani Zosia wróciła do reprimendy. — Niepohamowany śmiech jest oznaką dzikiego człowieka. Czemu nie panujesz nad emo-



cjami. Otoczenie jest czemś doniosłe istotnem dla tej pani.

— Dla mnie również i to mnie przejmuję twogą — odpowiedział poważnym już tonem. — Sprawa jest do tego stopnia serjo, że nie wiem, czy nie uważać jej za erę.

— Co przez to rozumiesz? — Spytała pośpiesznie, znając ton jego głosu.

— Jestem zdrowszy. Jestem zdrow na tyle, aby skoczyć na równe nogi i wziąć się...

— Do czego?

— Do tego — zakreślił ręką koło. — Muszę mieć coś do zabawy póty, póki nie będę gotów do roboty.

Siedziała na łóżku cała naprzód pochylona ze splecionymi dłońmi.

— Ach, czy myślisz, że zdrowie ci pozwoli?

— Tutaj czujemy się lepiej, niż gdziekolwiek — ciągnął powoli, — a zawsze w razie czego można sprzedać.

Skinęła główką poważnie z oczyma rozblysłymi.

— Jedno co mnie trapi, to dzisiejsze ranne zdarzenie. Jeśli cię ono choć cieniem przygnębiło, możnaby kazać zburzyć dom folwarczny, albo może zupełnie straciłaś ochotę?..

— Zburzyć dom? — krzyknęła z oburzeniem. — Nie masz cienia zmysłu gospodarczego. Przecież tam możemy mieszkać w czasie restauracji dworu. Oba są prawie pod jednym dachem. Przeciwnie, to co się zdarzyło dziś rano, to jeszcze jeden palec przeznaczenia. Pardon powinien być zamieszkały. Lady Connant ma zupełną rację.

— Przedewszystkiem myślę o lasach i drogach. Mógłbym wartość całości w pół roku podwoić.

— Co mogą żądać za Pardon? — Wstrząsnęła namiętnie główką, aż rozluźnione włosy rozsypały się kędziorami wookoło twarzy.

— Siedemdziesiąt pięć tysięcy dolarów, ale zgodzą się na sześćdziesiąt osiem.

— To jest mniej, niż połowa sumy, którą zapłaciliśmy po ślubie za nasz pocziwy, stary yacht. I w dodatku nie było nam tam arcy-pysznie. Ty wtedy..

— Ja się przekonałem, że jestem zanadto amerykańnikiem, aby poprześcić na roli syna bogatego ojca. Tego mi chyba nie zganiisz?

— Nigdy w życiu, ale przyznasz, że nasz miodowy miesiąc był trochę zanadto pod znakiem biznesu. Powiedz, Jerzy, jak dużo możesz mieć tu z sobą?

— Napiszę jutro rano, aby mi przysłali pieniędzy i, jeśli powiesz „tak“, możemy całą sprawę zakończyć w dwa do trzech tygodni.

— Friars Pardon! Friars Pardon! — rozśpiewała się, a wielkie jej oczy pociemniały z rozradowania. — Wszystkie folwarki: Gale Anstey, Burnt House, Rocketts, folwark główny i Griffons. Będziesz je miał wszystkie, napewno?

— Napewno — uśmiechnął się.

— I lasy? Wysoki Pardon, Suttons, Pardon niski, Duttons Shaw, Reubens Ghyll, Maxeys Ghyll i obie dębiny Hangers. Będziesz je miał wszystko, napewno?

— Do ostatniego pręta. Chyba nie wątpisz, — roześmiał się. — Wiesz, mówią, że w samem tylko Hangers jest leżącego materiału przeszło na pięć tysięcy... chciałem powiedzieć, na tysiąc funtów.

— U Cloke'ów piec musi być przestawiony, pierwsza rzecz, i dach nad kuchnią naprawiony. To wszystko musi być wybielone — tu wskazała paluszką na strop. — Skandal! Pani Connant zupełnie ma słusność. O Jerzy, powiedz mi, kiedy zakochałeś się w starym dworze? Pierwszego dnia w zielonej sali, tak jak ja?

— Nie zakochałem się wcale, ale muszę czemś upamiętnić porę, gdy mogę znowu stanąć do roboty.

— Albo stojąc pod dębami, gdy drzwi się otwary... a prawda, czy iść na pogrzeb starego Igguldena? — Westchnęła z głębi uszczęśliwionego serca.

— Czy w obecnych warunkach nie będzie to wyglądało na krok samozwańczy? — Uśmiechnął się Jerzy.

— Przecie tak starowinę lubiłam...

— Ale nie miałaś [praw] pani domu w porze, gdy umarł.

— To mnie nie powstrzymuje. Ponieważ wszyscy tak podkreślali fakt mego czuwania przy nim, może z tego punktu widzenia uważaliby mój udział za pewien zaszczyt. O, Jerzy, — wyciągnęła do niego rękę, — jesteśmy dwie sierotki zagubione w nieznanym świecie. Zrobimy niejedną fałszywy krok, ale mamy czas na naukę do końca naszego życia. (c d. n.)



Z. ZAWISZANKA

## CÓRKA BOGA

8

### II. U KOLEBKI CUDU.

„Jehanne, à une bonne heure née.  
Béni soit celui, qui te créal

Mais Dieu fait cela, qui la conseille.

Qui en elle un coeur plus que d'homme a mis“...

Christine de Pisan (1429 r.)

Tuż nad zachodnią granicą Francji, między terytorjami Lotaryngji, Szampanji i lenna Barrois — leżała prawdopodobnie w obrębie kasztelanji Van-

couleurs — wioska Domrémy, o której ówczesną przynależność kłóca się do dziś wszystkie te trzy prowincje.

Zachował się akt królewski Karola V, przyłączający ze specjalnym naciskiem kasztelanję Van-couleurs do korony francuskiej. Ziemia ta była więc królewszczyzną: chłopci korzystali tam więcej z opieki prawa, intensywniej od innych obchodziła ich polityka (jako bezpośrednio w niej interesowanych, co wogóle rozbudzało ich umysły i podnosiło kulturę. Działał tu również ten czynnik, który zwykle har-tuje duszę ludności kresowej — jeśli gdzie istniał



już w owym czasie patriotyzm, to w owym zakątku właśnie.

Tam to, między 1410 a 1412 r. przysłała na świat, w skromnej rodzinie wolnych kmieci, nazwiskiem d'Arc, jako trzecie z rzędu dziecko, — dziewczynka, napozór podobna do wielu innych. Na chrzcie św. nadano jej częste wówczas imię: Joanna (Jehanne). Ojciec jej, Jakób, musiał być rozumny i szanowany przez sąsiadów, skoro był przez dłuższy czas starszym w gminie<sup>1)</sup>, a nawet raz powierzono mu przedstawicielstwo sprawy całej wsi wobec komendanta Vancouleurs. Matka, Izabella, znana z gorącej pobożności, miała smac i silną wolę i odwagę, jeżeli w owe niebezpieczne czasy puszczała się kilkakrotnie na pielgrzymki do odległych miejsc cudownych. Jest nawet przypuszczenie, że dotarła aż do Rzymu; choć dowodu na to niema innego nad noszoną przez nią nazwę Rzymianki (Romée), którą oznaczano wtedy pątników do stolicy chrześcijaństwa — do przydomka tego i córki po matce miały prawo.

Rodzina owa, kochająca się, spokojna i uczciwa, żyła z plonów małego folwarczku i z wynajmu koni.

Dzieciństwo Joasi upływało pracowicie, w chatce otoczonej ogródkiem, przylegającym do kościoła i na wesołych łąkach nad Mozą, gdzie się bawiła z rówieśnikami. Wcześniej nauczyła się praść, szyć, pomagać matce we wszelkich zajęciach gospodarskich — a gdy podrosła, to pracowała także w polu z ojcem i braćmi. Była zdrowa, silna i zawsze czynna, żywa, lecz dość małowólna, skłonna do rozmyślań i żarliwej modlitwy. Odkąd z ust matki nauczyła się pacierza, rozmowa z Bogiem stała się jej potrzebą nieustanną.

Najchętniej oddawała się jej w samotności, pilnując na polach trzód, przy biciu dzwonów, których głos oddziaływał jakoś szczególnie na jej wyobraźnię. Msza, spowiedź, komunja, były dla niej źródłami niewyczerpanej, nadziejskiej rozkoszy. A jednak nie był to typ egzaltowanej wizjonerki: bystry jej umysł miał wiele zdrowego rozsądku, nerwy — opanowania, a kontemplacja nie pochłaniała całkowicie gorącego jej serca, gotowego zawsze nieść pomoc ludziom. Pielęgnowała chętnie chorych we wsi, dzieliła się z głodnymi własnym chlebem.

Nie brakło do tego sposobności — bo nieszczęścia krajowe odbijały się silnie i w tych stronach, choć odległych od właściwego teatru wojny. Przechodziły tamtędy z pewnością całe procesje żebraków i różnych nędzarzy, opowiadając o rzeziach, grabieżach i wszelkich krzywdach doznanych. Sami zresztą mieszkańcy Domrèmy dręczeni byli przez różne uciążliwe daniny, rabunki band, ciągłą niepewność jutra. Siedmioletnia Joasia mogła widzieć ze wzgórzka toczącą się w pobliżu utarczkę. Mąż jej chrzestnej matki został pojmany, mąż kuzynki poległ.

Dziewczynka, przygnębiona temi smutkami otoczenia, patrząc często wieczorami na ponure łąny dalekich pożarów, zapytywała siebie pewno, i Boga błagała<sup>2)</sup> o odpowiedź: dlaczego tak źle na świecie?!

Opowiadano sobie w Domrèmy, i u ogniska rodziny d'Arc — że wszystkiemu winni Anglicy i ta

zdradziecka Burgundja, co z nimi trzyma. Niejeden mnich wędrowny przynosił wieści o wydziedziczonym, nieszczęsnym królewiczu, o ciągłych klęskach francuskiego oręża. Wiele smutnych nowin chwytano od kurjerów, jeżdżących z Flandrii do Włoch, starą drogą rzymską, która przecinała Domrèmy.

W umyśle podrastającej Joanny sprawa Królestwa Bożego na ziemi sprzegła się silnie i na zawsze z ocaleniem Francji. Olbrzymia jakaś praca musiała się dokonywać w tej dziecięcej duszy w skrytości modłów, pośród zajęć sielskich. Jedyłą jej szkołą była przyroda, rodzina prostacza, pierwotne społeczeństwo wieśniaków — i ta wielka „niedola królestwa Francji“, która wypaliła na jej sercu niezatarte znamię. Cała straszliwa groza czasu zogniskowała się w tem sercu, które czuło mocniej, widziało jaśniej od wszystkich innych. Przedwczesna powaga, bijąca od tego czoła, musiała chwilami onieśmielać przyjaciółki; bardzo być może, że któraś z nich mówiła do niej mniej więcej tak, jak sobie wyobraża Karol Pegny<sup>2)</sup>:

— „Ja odmawiam pacierz, ale ty mówić go nie przestajesz! Nigdy krzyże przydrożne tego chrześcijańskiego kraju nie przyjęły tylu pacierzy, co w czasie tych lat, odkąd ty na świat przyszaś... Chcesz być taka sama, jak wszyscy, nie chcesz zwracać na siebie uwagi. Próżny trud! Tobie nie uda się to nigdy.“

Modlitwa Joanny musiała być nieustającym wołaniem o ratunek, ciągłym wyzywaniem losu, za ofiarowywaniem całej siebie na służbę i odkupienie cierpiącego kraju.

I wyzwanie zostało przyjęte...

W słoneczne letnie południe, w ogródku obok kościoła, ukazała się 13-letniemu dziewczątku jasność wielka, a w niej usłyszała wyraźnie słodki głos:

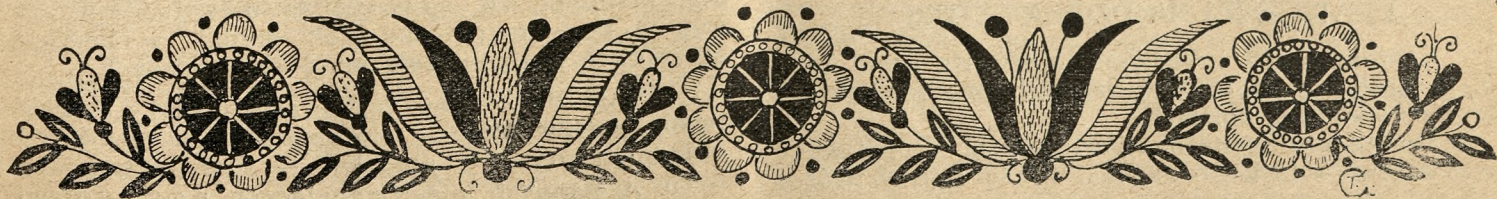
„Joanno, nawiedzaj kościół, bądź dobra, a pobożna!“

Dziecko przeraziło się zrazu bardzo — lecz gdy „Głos“ ponowił się w parę dni później, uczuło w nim objawioną cudownie wolę boską. W aureoli blasku, w tłumie aniołów poznała Archanioła Michała, który obiecał przysłać św. Katarzynę i Małgorzatę, aby się opiekowały młodziczką wybranką niebios. Jakoż istotnie przyszły nazajutrz te święte, znane Joasi z obrazów w parafjalnym kościele i z legend pobożnych obie bohaterskie męczennice Chrystusowe.

Dziewczynka skłoniła się im nisko i objęła za kołana, czując woń cudowną, bijącą od nich — a one przemawiały do niej z dobrocią wielką, melodyjnymi głosami. W miarę, jak odwiedziły tych niebiańskich nauczycielek, stawały się coraz częstsze, Joasia zapomniiała o swej nieśmiałości i bojaźni, zwierając im te troski swoje, których otoczenie pojąć nie mogło. Pokrzepiona zawsze taką rozmową, płakała nieraz, że święte znikają, nie zabierając jej ze sobą... Ubogi pierścionek, dar matki, którego one dotknęły kiedyś, stał się dla niej najdroższą pamiątką. (c. d. n.)

<sup>1)</sup> Doyen de la communauté.

<sup>2)</sup> Mystère de la charité de Jeanne d'Arc. Charles Pegny





## Ś. P. JANINA KOCIATKIEWICZOWA

Była to kobieta pogodna, pełna szlachetnej dobroci i łagodności, wytrwała w pracy społecznej. Śmierć jej okryła żalobą serca tych wszystkich, którzy mieli możność poznać ją bliżej, gdyż ś. p. Janina Kociatkiewiczowa potrafiła nie tylko wzbudzić w otoczeniu szacunek dla swej inteligencji i prawości charakteru — ale umiała zjednywać również dla siebie ludzką przyjaźń i miłość.

Od szeregu lat imię jej było związane z walką o istnienie i o rozwój szkoły polskiej.

Gdy w r. 1897 zamieszkała w Łodzi — rozpoczęła pracę oświatową jako, mianowana z ramienia Zarządu Północnego Koła Towarzystwa Dobroczynności, inspektorka w jednej z łódzkich szkół. Poza tem brała czynny i wybitny udział w pracach Koła Unarodowienia Kobiet, zajmując się sprawą wychowania przedшкольного.

Od r. 1902 pracuje w Warszawie jako członek Koła Okręgowego „Macierzy Szkolnej“, stojąc zawsze wytrwale przy sztandarze unarodowienia szkół w Polsce. Kiedy przemoc wroga zdławiła rozwijającą się bujnie pracę szkolną w ramach potężnej organizacji „Macierzy“ — ś. p. Janina Kociatkiewiczowa stała do pracy w szeregach ruchliwego „Towarzystwa Wpisów Szkolnych“ i jako wice-przewodnicząca sekcji oświatowej Tow. Jedność (pracowników kolejowych drogi żelaznej Warszawsko-Wiedeńskiej), czuwa nad rozwojem i życiem wewnętrznym szeregu szkół — poświęcając specjalnie dużo czasu i pracy szkole kolejowej przy ulicy Łuckiej 12 (obecnie warsz. szkoła miejska Nr. 129).

Przez szereg lat była w szkole tej kierowniczką pedagogiczną, a do końca życia główną jej opiekunką. Wybuch wojny nie oderwał ś. p. Janiny Kociatkiewiczowej od warsztatu prac społecznej.

Z ramienia „Komitetu Obywatelskiego“ organizowała szkoły i ochrony, a przede wszystkim szkoły rękodzielnicze.

W r. 1918 stała w szeregach organizacji „Koła Polek“.

Odtąd niema pracy, niema troski i radości — w którejby nie brała żywego udziału, zawsze czynna, zawsze gorliwa w spełnianiu swych obowiązków, zawsze pełna zapału i wiary w przyszłość swego narodu i państwa.

Idąc po linii swej dotychczasowej pracy — ś. p. J. Kociatkiewiczowa stała na czele Sekcji Oświatowej K. P., organizującej pracę kult. oświatową wśród żołnierzy. Już w grudniu 1918 r. inicjuje zbiórkę książek po domach prywatnych.



Nie rozporządzając większą gotówką i nie mając wygodnego lokalu, potrafiła wydobyć tyle energii i inicjatywy z członków sekcji, że w ciągu r. 1920 wydział bibliotek żołnierskich Koła Polek wysłał do gospód żołnierskich i do oddziałów wojskowych zgóra 91 tysięcy książek, oraz zgóra 183 tysięcy pocztówek, obrazów, portretów i t. d.

Żadna trudność — nieraz zda się nieprzezwyrodną, nie zatrzymywała jej w pół drogi, żadna przykrość, doznana w pracy, nie gasiła jej zapału. Na robotę społeczną miała zawsze czas i zawsze miała siły.

Potrafiła połączyć obowiązki żony i matki z obowiązkami obywatelki — każda godzinę dnia miała wypełnioną pracą, nie znała bezczynności, to też będąc duszą i ciepłem swego rodzinnego ogniska, była zarazem jedną z najczynniejszych społecznie.

Punktualna i systematyczna brała udział w pracach Zarządu Koła Polek, nie uchylając się nigdy od spełniania włożonych na jej barki obowiązków.

Gdy w r. 1921 Koło Polek powołało ponownie do życia pismo kobiece „Bluszcz“, ś. p. Janina Kociatkiewiczowa brała czynny udział w pracach Komitetu Redakcyjnego, będąc jego niestrudzoną współpracowniczką. Gdy pismo przeszło w ręce „Towarzystwa Wydawniczego Bluszcz“, żywo interesowała się losami pisma, śledząc jego rozwój do ostatnich chwil swego życia.

Ciężka choroba oderwała ją od warsztatu pracy społecznej, nikt jednak nie przypuszczał, by już nigdy nie miała doń wrócić. Tyle w niej było siły, tyle radości życia i pogody. Opuszczone miejsce czekało na jej pracę.

To też, gdy ciało jej składano do ziemi — miało się wrażenie — że tam pod zimnym wiekiem trumny bije jeszcze to niestrudzone serce, które tyle umiłowowało.

Nad mogiłą ś. p. Janiny Kociatkiewiczowej w imieniu Koła Polek — przemawiała Przewodnicząca Konstancja Łubieńska. Żegnając „niestrudzoną pracownicę i najlepszą, nieodżałowaną koleżankę“ — mówiła: „Ś. p. Janina Kociatkiewiczowa skromna,

czynna, pogodna, nie pragnąca nigdy imponować swym wykształceniem i wybitną inteligencją — umiała jednak promieniować wokoło siebie.

Łączyła najdoskonalej typ współczesnej społeczniczki-obywatelki z czystym typem niewieścim.”

Cześć Jej pamięci!

## PRZEGLĄD RUCHU PLASTYCZNEGO W WARSZAWIE

za okres IX—II 1925/26 r.

### I.

#### PARĘ SŁÓW O ZACHĘCIE, PUBLICZNOŚCI I PATRZENIU NA DZIEŁA SZTUKI

Szeroko przed publicznością otwarte drzwi Zachęty stały się dla Młodej Sztuki bramą forteczną, ciężką i najeżoną kolcami.

Pomimo pozornego zlikwidowania długotrwałego zatargu — de facto najtężsi artyści polscy, twór-

czy i poszukujący, znaleźli się w tego rodzaju sytuacji moralnej, że zmuszeni są urządzać wystawy swe w prywatnych salonach sztuki, w lokalach szczupłych i stosunkowo mało odwiedzanych.

Droga do Zachęty jest utarta od lat. Publiczność, przyzwyczajona do spędzania w niej przedobiedniach godzin w niedzielę — spotyka tam znanych, dostępnych, niewymagających nowego spo-



sobu patrzenia, pocziwych, dobrych starych znajomych, impresjonistyczne krajobrazy, realistyczne portrety, jak żywe — martwe natury (!), romantyczne i rodzajowe kompozycje — rzeczy przed trzydziestu laty shocking—dziś uznane, przypieczętowane, porządne i pewne.

Ciekawą byłaby jednak opinia ludzi, obeznanych ze sztuką dawną i współczesną — w zakulisowe jednak sprawy naszego pierwszego salonu niewtajemniczonych. Czy nie uderza ich monotonia, bezbarwność i bezobrazowość naszych oficjalnych ekspozycji? Czy europejczyka, znawcę piękna, nie zdziwi, że tylko takie rzeczy widzi w muzeum stolicy? Czy nie zapyta, jakimi drogami idzie dzisiejsza polska sztuka — jakie miejsce daje jej u siebie naród wolny i o sobie stanowiący? Czy i jakie pokrewieństwo łączy ją z malarstwem i rzeźbą zachodu?

Słowem—interesującym by było, czy od bezstronnych miłośników piękna nie wychodzi głos pytania, zdumienia, niezadowolenia, a wreszcie protestu przeciwko faktowi, siłą którego owa „Zachęta“, mająca być terenem dla szerokiego objawiania się plastycznej polskiej twórczości całej — a przede wszystkim młodej, rozwijającej się, najbliższej jutra — że owa zachęta stała się azylum dla sztuki zasłużonej, lecz wczorajszej.

Toleruje ona niekiedy—dla pozorów—młodzieńcze próby, dając im do użytku kącik w swym domu. Zdobywa się na urządzenie wystawy zbiorowej Malczewskiego, lub udziela sal pod pokaz obrazów Ślewińskiego, pokaz dokonany najwyższym staraniem jego żony.

Bowiem bardzo wiele jest słuszności w twierdzeniu, że człowiek ma to, na co zasłużył; naród, społeczeństwo również.

Oczy, patrzące na dzieła plastyki, w dużym stopniu decydują o jej losie. Oczy te, dużo biorąc, dają wiele. Dają uznanie, ocenę, współdziałanie, lub obojętność i niezrozumienie; są widzące, lub ślepe; przyjmują w siebie świat, który przez kolory i linie artysta wywołał — niby Bóg — zda się z niczego — wnikają w sposoby i środki rzemiosła, którym artysta włada; doszukują się jego stosunku do rzeczywistości, wczuwają się w zamierzone przez niego stopniowanie i wybór wartości plastycznych — dostosowują się niejako do takiego właśnie sposobu artystycznego rzutowania fragmentów świata — stają się na chwilę, pod wpływem jego sugestji, nim, t.j. tworzącym artystą; odróżniają walory malarskie od rysunkowych, skalę posługiwania się światłem i cieniem, analizowania, lub syntetyzowania barw, poznają jego miłość, lub obojętność dla bryły; inaczej reagują wewnętrznie na rozmówienie się w szczegółach, inaczej na zwięzłość kształtowania; wzywają się w rozwlekłe, lecz nie pozbawione wdzięku, jednopłaszczyznowe kompozycje prymitywów włoskich; ulegają olśnieniu światłami Rembrandta — słowem, apercypują, wchłaniają — i żyją, w chwili patrzenia, dziełem artysty.

Lub nie widzą i nie wiedzą nic poza fabułą, poza tem, co, jaką historyjkę obraz przedstawia — czy daje „milusią“ twarz, lub dostatecznie ponętny kobiecy akt, albo podniosłą alegorię historyczną.

Wiele nieporozumień, istniejących pomiędzy artystą, a publicznością, wynika z fałszywego stanowiska tej ostatniej. Chciałaby ona mieć w osobie artysty oplacanego trefnisia, w najlepszym razie ekspozyturę swych przeciętnych upodobań — kogoś średniego, łatwego do strawienia, kogoś „w miarę“.

Tymczasem artysta nosi w sobie coś, o więk-

szej mocy trwania, niż on sam, coś, co trwać będzie po jego odejściu. Ulega on nakazowi rozwoju i prób, wysiłku do rzeczy nowych, jakich jeszcze nie było.

Stąd nawet nie geniusz, ale poprostu dobry artysta, który jeszcze nie zatrzymał się i nie powtarza siebie, będzie zawsze nieco nowy, nieco inny, niż to, co stanowi przeciętną utartego gustu publiczności.

Widz, stojący przed jego dziełami, musi się cokolwiek wspiąć na palce, chcieć nieco nauczyć, zrezygnować z predyspozycji i przyzwyczajzeń wczorajszych; być naiwnym i posiadać dobrą wolę, jak dziecko chciwie chłonec piękno. Jak ono bezpretensjonalne i podatne urokowi. I pełne zainteresowania.

Musi nastąpić wymiana podnięt, jak przy każdym współdziałaniu.

Przez oczy przenika w nas świat plastyki, budząc specyficzne wrażenia piękna i rozkosz estetyczną — nasz oddźwięk intensywny stwarza atmosferę, sprzyjającą tworzeniu, podnieca i rodzi artystów.

Istnieje tu współtworzenie, jak przy każdym zetknięciu się człowieka z człowiekiem — i wzajemność.

Gdy tego brak — wytworzy się martwota, zastój, nuda, bezruch.

W epokach wielkiego rozwoju rękodziel i rzemiosła „społeczeństwo“ oceniało rzeźbę i malarstwo. Stanowiły one szczegół zrozumiałe i potrzebny w życiu. Tkwiły w życiu, jako jego ważne części składowe.

Dzisiejsze czasy i pod tym względem stoją na przełomie. Częsteczki życia rozleciały się, rozbiegły i nie mogą się odnaleźć.

Lecz ukazują się jaskółki, zapowiadające wiosnę. Oto w Ameryce, ludzie, znużeni zmechanizowaną pracą w fabrykach, uprawiają wieczorem, w domu, lub we wspólnych warsztatach, rzemiosła dla siebie, dla przyjemności, bezinteresownie, z potrzeby wyładowania swego instynktu tworzenia. Wracają do materji, do surowca, by go samemu, po swojemu kształtować.

Jest to ciekawy powrót do tego od czego się odeszło.

Może przyszła ludzkość da sztuce należne jej w życiu miejsce.

M. Samotyłowa.

## KOBIETA W ŚWIECIE I W DOMU

### PATRYOTYZM TURCZYNEK.

„Wiestnik na Żenata“ donosi o bardzo pięknym fakcie, charakteryzującym uświadomienie narodowe i gorącość uczuć patriotycznych kobiet tureckich. W Turcji powstała niedawno Liga Obywatelska, mająca na celu zbieranie składek na powiększenie floty tureckiej. Z datkami na cel ten pośpieszyły przede wszystkim kobiety. W jednym z miast tureckich wszystkie nauczycielki nie tylko opodatkowały się na ten cel i to w stopniu bardzo wysokim, lecz ponadto ofiarowały komitetowi zbiórki wszystkie bez wyjątku swoje kosztowności, nie wyłączając nawet najcenniejszych pamiątek rodzinnych.

### DOBRY HUMOR PRZEDEWszystKIEM.

Jeden z profesorów psychologii na uniwersytecie kalifornijskim wpadł na pomysł zadania swoim słuchaczkom ćwiczenia seminaryjnego na temat: „Jakie zalety winien posiadać mąż idealny?“. Nie-



wiadomo, czy to wskutek uprzedniego porozumienia się między koleżankami, czy też wskutek rzadkiej jedynomyślności, wszystkie bez wyjątku odpowiedzi wykazały zadziwiającą zgodność. Główną zaletą męża, zdaniem studentek kalifornijskich, jest — dobry humor!

„Mąż idealny może być bogaty, lub nie — pisze jedna z pań — może posiadać własny luksusowy samochód, lub też chodzić piechotą, lecz przede wszystkim winien mieć zawsze wesołe usposobienie.“ Inna znów podkreśla znaczenie optymizmu w pożyciu małżeńskim. „Mąż — pesymista, to najstraszliwsza klęska życiowa dla żony. Przeciwnie — optymista potrafi znaleźć zawsze wyjście z najtrudniejszego położenia, pokonać wszelkie trudności, a przytem stwarza zawsze atmosferę domową pogodną i wesołą. Humor jest najcenniejszym darem Bożym — szkoda tylko, że ludzie o równym, spokojnym, pogodnym usposobieniu, o charakterze optymistycznym i wesołym trafiają się tak rzadko!“

### KRÓLOWA MAŁGORZATA O ZALOTNOŚCI.

Jedno z pism francuskich przytacza następujące zdanie niedawno zmarłej królowej — wdowy włoskiej, Małgorzaty, o zalotności kobiecej i męskiej:

„Nie wiercie nigdy mężczyźnie, oburzającemu się na zalotność kobiet. Jest to właśnie ta cecha, którą najbardziej cenią oni w kobiecie. Gdyby niewiasty postanowiły wyrzec się kokieteryj, najbardziej poszkodowanymi byłiby właśnie mężczyźni i z pewnością błagaliby oni swe towarzyski życia o powrót do rzekomej „wady“, która jest przeciwieństwem grzechu, którą jest przecież w gruncie niczym innym, jak tylko chęcią przypodobania się im i dogodzenia ich gustom.

Zresztą — czyż mężczyzna ma prawo potępiać zalotność kobiecą, on, u którego próżność i kokieteryja jest może jeszcze daleko silniej rozwiniętą cechą charakteru? Przyjrzyjmy się zalotności mężczyzny! Jakże lubią oni popisywać się urodą, swoim dowcipem, swoją inteligencją! Nawet kwestja ubrania zajmuje przeciętnego mężczyznę nie mniej, niż kobietę. Czas, który mężczyzna spędza przed lustrem na zawiązanie krawata, doprawdy nie jest krótszy od tego, który najbardziej zalotna kobieta zużywa na przymierzenie modnego kapelusza!“ Z. B.

## Z TEATRÓW

### TEATR NARODOWY.

„W cichym dworze“ dramat w 3 aktach L. H. Morstina.

Bohaterem dramatu Morstina jest postać tytułowa: Cichy Dwór. Pozornie — Dwór żyje życiem własnym, odrębnym od życia mieszkańców. Ale to tylko pozory. W rzeczywistości Karol i Rena zespili się z Dworem w jedno: spokój Dworu jest ich spokojem, honor Dworu — ich honorem. Stało się to niepostrzeżenie dla nich samych, to też, gdy Rena uświadamia sobie swój grzech, wybucha między nią i Dworem walka, w której kobieta zostaje zwyciężona przez symbol. Bo Dwór jest symbolem cichego szczęścia i czystości obyczajów. By dojść do zrozumienia tego, musi Rena zrozumieć istotę swego grzechu. Wiedziała od początku, że czyni źle, zdradzając swego męża z jego przyjacielem (roz-mowa Remy i Andrzeja w akcie pierwszym), ale od poczucia, że czyni źle, do przekonania żeśmy zgrzeszyli — droga jest daleka. Dopóki Rena wie, że zdradza męża — prosto tylko nie jest szczęśliwa, ale znajduje tysiąc argumentów na obronę swego postępowania. Ale gdy poczuła, że zdradza ukochanego, jego ideał Dworu polskiego i żony polki — zaczyna być nieszczęśliwa. Grzech objawia się w całej swej ohydzie — i woła o odkupienie. Rena kochała tylko raz w życiu — towarzysza lat dziecinnych. Dla-czego pozwoliła mu odejść i została żoną Karola — nie wiemy. Stało się. Janusz zginął śmiercią bohaterską. Umarł bez żalu do ukochanej, z jedynym pragnieniem by była szczęśliwa i wniosła szczęście w ten Dwór, polski Dwór. Potęgą miłości sprawia,

że danem mu jest zjawić się w tym Dworze po śmierci. Przychodzi, aby przekonać się na własne oczy, że pragnienie jego zostało spełnione, aby powiedzieć Renie, że czystość życia — to przyszłość Polski. Janusz zjawia się między żywymi, więc bierze na siebie postać ludzką. Ale mówi i zachowuje się dziwnie. Wzbudza nieufność, chociaż Rena go poznała, a siostra Karola, Zosia, uwierzyła weń. Usłużny przyjaciel Karola (kochanek Remy), demaskuje Janusza: papiery przywiezione z pułku, świadectwa kolegów stwierdzają śmierć Janusza.

Janusz przyznaje się, że nie jest człowiekiem żywym, a jednak jest sobą. Wrócił, by spełnić swoje zadanie; prostować ścieżki życia, wskazać drogę prawdy i cnoty. Znika, jak się zjawiał, w sposób tajemniczy. W cichym Dworze powstaje popłoch. Mężczyźni gubią się w domysłach, czy mieli do czynienia z szarlatanem, astralem, upiorem, czy duchem? Nawet ks. proboszcz nie umie odpowiedzieć na to pytanie. Kobiety — Rena i Zosia wierzą, że to był On, i że trzeba spełnić jego wolę. Mimo błagań kochanki i praktycznych rad plebana — Rena wyznaje swój grzech mężowi. Czyni to w sposób ludzki: oskarżając siebie, oskarża jego; korząc się, wybucha żalem za swoje zmarnowane życie. — Karol z początku odtrąca wiarolomną żonę, ale kiedy Rena, skruszona ostatecznie, klęka przed nim — ma już dla niej tylko słowa przebaczenia: „grzechy są wspólne, a winy niczyje.“

Ofiara Janusza nie poszła na marne: Dwór zwyciężył. „W cichym Dworze“ jest może najlepszym utworem L. H. Morstina. Pisany wierszem ładnym, dźwięcznym, tchnie szczerością, wiarą autora, iż tylko w atmosferze czystości i prawdy zakwitnąć może nowe polskie życie.

Zagrano „W cichym Dworze“ bardzo dobrze. Zwłaszcza p. Różycki (Karol) stworzył postać pod każdym względem doskonałą. Należą mu się też słowa głębokiego uznania za ładne mówienie — nie deklamowanie wiersza. Rena pani Panewiczowej była uosobieniem żywiołowości, ognia. Panna Majdrowiczówna z wdziękiem i subtelnością odegrała rolę księżycowej poetki, Zosi. Pan Hnydziński był poprawnym Andrzejem, pp. Owerłło i Chmieliński dali typy doskonałe. Najtrudniejsza rola przypadła p. Rolandowi. Zagrał Janusza dyskretnie i subtelnie, szczęśliwie rozwiązując piętrzące się przed nim trudności.

### TEATR POLSKI.

„Dama Kameljowa“ sztuka Al. Dumas'a.

Aleksander Dumas (syn) jest wraz z Emilem Angier twórcą realistycznej komedji francuskiej. Urodzony w roku 1824, karierę literacką rozpoczął jako powieściopisarz. Wkrótce przeniósł się do teatru, który zdobył wstępnym bojem, wystawiając w roku 1852 „Dama Kameljową“. (Właściwie tytuł powinien brzmieć po polsku „Dama z Kameljami“) W tej epoce swojej twórczości znajduje się jeszcze Dumas pod silnym wpływem romantyków. Z biegiem lat zmienił się, nigdy jednak, — pomimo iż wszystkie jego komedje pisane są na pewną tezę — moralista nie zabił w nim poeta.

Grana obecnie w Teatrze Polskim „Dama Kameljowa“ śmiało rościć sobie może pretensje do nieśmiertelności. Los Małgorzaty Gauthier wzrusza trzecie już pokolenie, od lat siedemdziesięciu zgórą największe aktorki świata ubiegają się o jej rolę.

Historja Małgorzaty Gauthier i Armada Duval (zbyt dobrze znana moim czytelnikom z powieści i opery „Traviata“, bym miała ją streszczać) jest nieco zmienioną historją młodego Dumas i panny Mari Duplessis, uroczej kurtyzany paryskiej, zmarłej w kwiecie wieku. Nazywano ją „Dama z Kameljami“ ponieważ czuła odrazę do zapachu kwiatów i stroiła się jedynie w białe i bladorożowe kamelje. Zaznaczam, iż najmniej prawdopodobne szczegóły tej historji są wzięte z życia — t. zn. usynowienie przez księcia rosyjskiego — nieprawdziwy jest tylko ów surowy ojciec, sprzeciwiający się niestosownemu małżeństwu syna.

Rolę Małgorzaty kreowały ongiś najświetniejsze gwiazdy świata teatralnego — Modrzejewska, Duse, Sarah Bernhardt. Jest to rola bardzo wdzięczna, ale wymagająca wielkiego kunsztu aktorskiego, by nie wpaść w okliwy melodramat. Teatr Polski powierzył ją p. Przybyłko Potockiej, która stworzyła kreację w wielkim stylu, wpisując swoje nazwisko do rzędu najświetniejszych odtwórczyń Damy Kameljowej. Szczerość, wdzięk, prostota i głęboki tragizm cechowały grę tej znakomitej aktorki. Słuchało się jej z pełnym, niekłamaniem wzruszeniem.

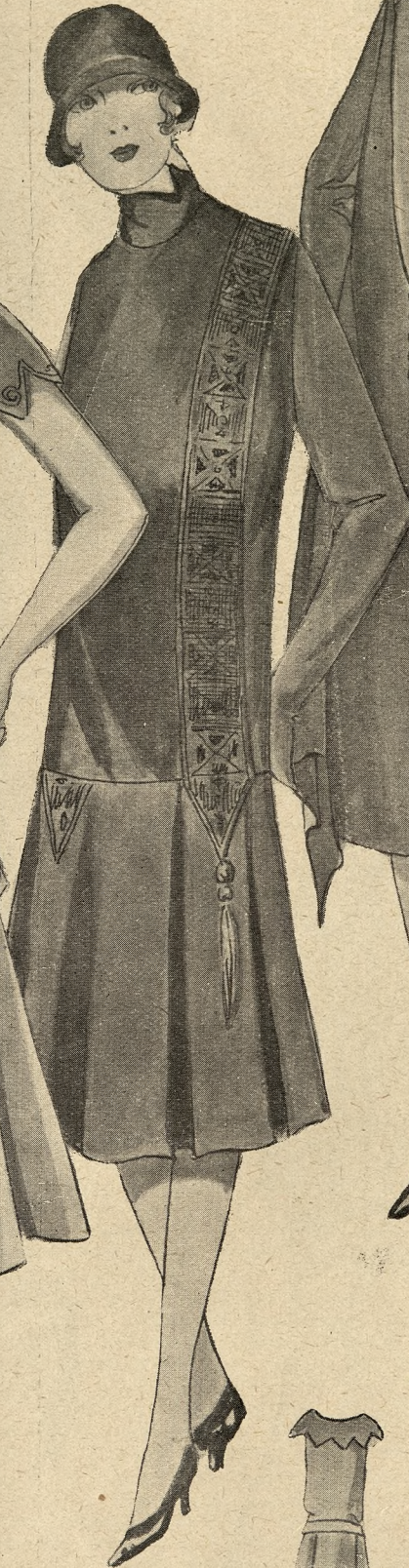
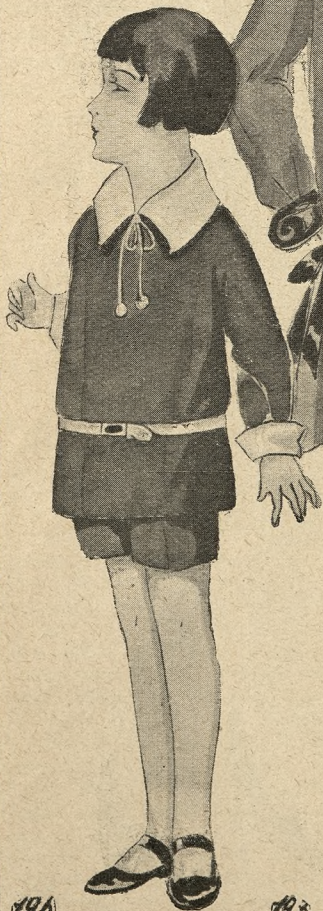
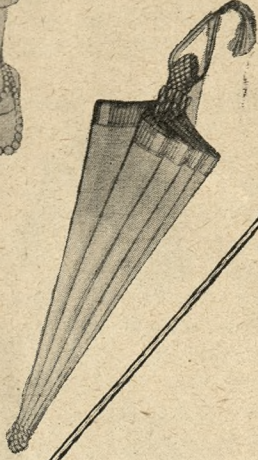
Niestety, nie znalazła pani Przybyłko Potocka godnego siebie partnera w panu Węgiecie, który, aczkolwiek bardzo poprawny, a chwilami nawet dobry, nie ma warunków zewnętrznych na Armada. Natomiast świetny w roli St. Gaudens był pan Fritsche. Mimi pani Modrzejewskiej była przemiła, Olimpia pani Sulimy bardzo stylowa, panie Muclingerowa, Skibińska, oraz panowie Boelke, Łuszczewski, Wesołowski, Staszewski, Jarszewski i Żabczyński dobrze grali i dobrze ruszali się w stylowych frakach i fryzurach. Kostjumy śliczne i stylowe. Wnętrza (za wyjątkiem różowo błękitnego buduaru Małgorzaty) bardzo ładne, raz jeszcze dowiodły głębokiego smaku i zjawstwa p. Frycza. Reżyserja p. Borowskiego doskonała.

Z. P.

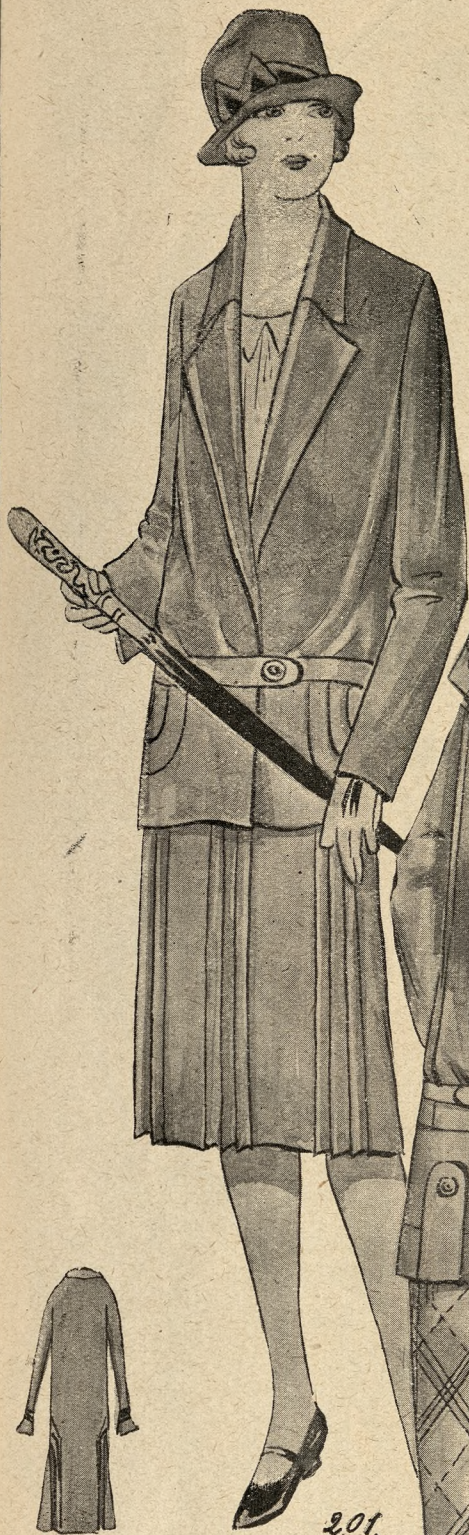












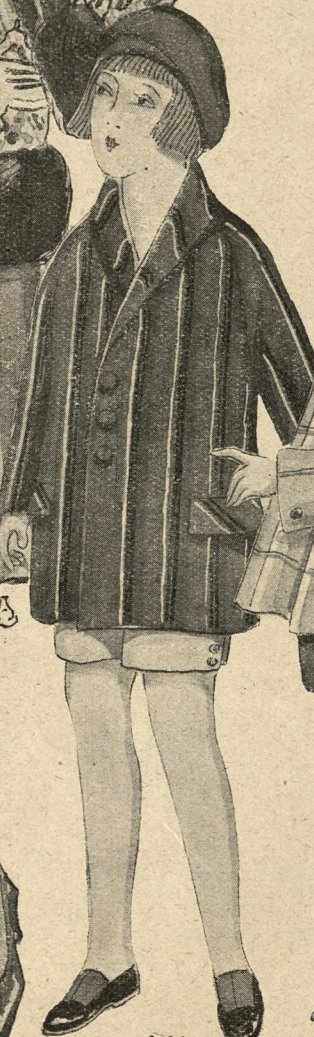
201.



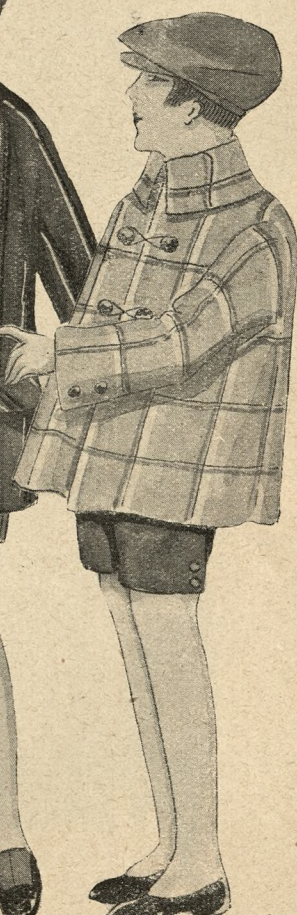
202



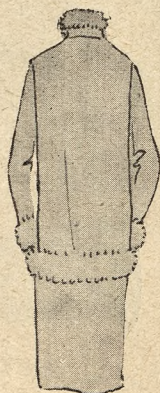
203.



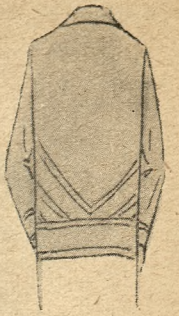
204



205







207.

209.

208.



210.



211.

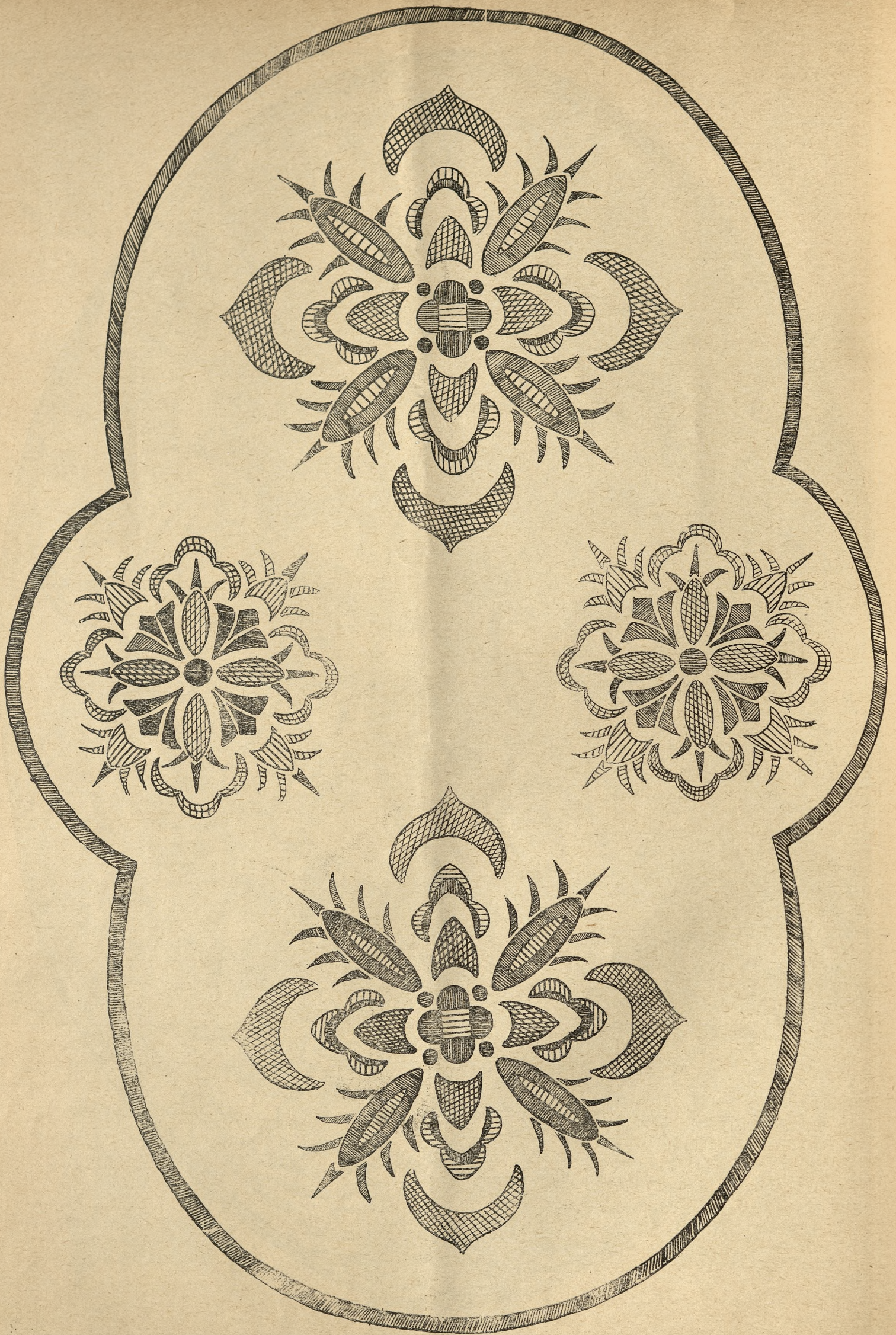


212.





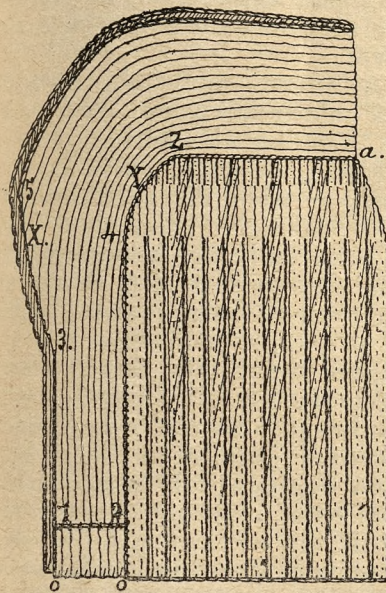




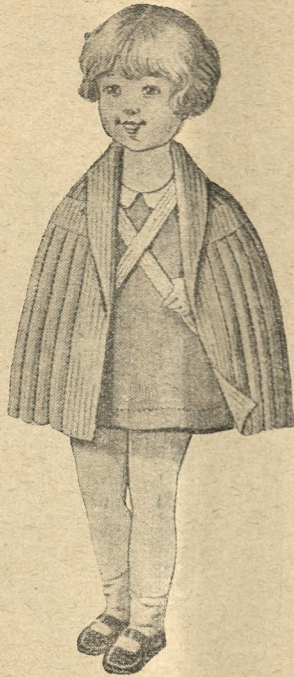


## PELERYNKA NA DRUTACH

Potrzebne materiały: wełny merynos w dowolnym kolorze 350 gr., 2 druty stalowe Nr. 14 zakończone kulkami, 2 druty kościane 3 mil. średnicy i igła kanwowa. Pelerynka składa się z 3 części: 1) karczka i falbanę, 2) kołnierz i kłapy, 3) szelki. Falbanę robi się ścięciem gładkim i na wywrót, karczek tylko gładkim, a szelki na wywrót. Falbanę jak to rys. Nr. I wskazuje

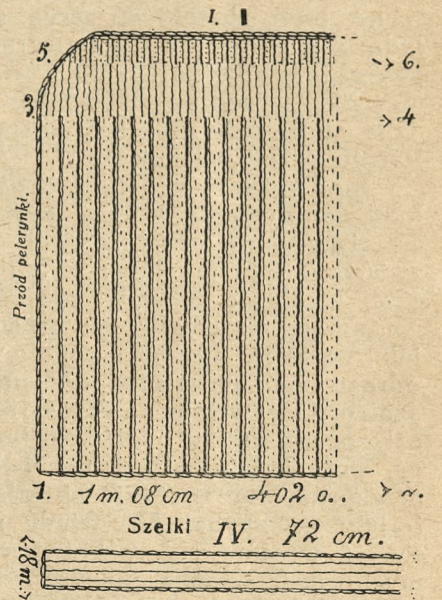


(4 ta część całości) robimy stalowymi drutami, zaczynając od dołu linią 1—2 na podstawie 402 oczek 1 m. 8 cm. długości Z tej długości uformujemy 63 pasy 6 oczek szerokie, robione ścięciem gładkim i rozdzielające je 62 pasy 2 ocz. szerokie, robione ścięciem na wywrót. Rys. Nr. II wskazuje nam oba ścięgi. Zaczynamy od 6 ocz. gładkich—2 ocz. na wywrót, 6 ocz. gład. 2 ocz. na wywr., i t. d. na długości 402 ocz., aż dojdziemy do wysokości 38 cm. (patrz linia 3—4). Zaczynając karczek, (Nr. 4 po prawej stronie), tylko w pierwszym rzędzie robimy 1 ocz. na wywrót, 2 ocz. razem gładko przerobione—1 ocz. na wywrót, 1 ocz. gład., 1 na wywrót i tak aż do Nr. 3 skąd rozpoczynamy na nowo i robimy tak samo do końca rzędu, zmniejszając przez to ujmowanie szerokość wysokości pelerynki o 63 oczka w miejscu, gdzie rozpoczyna się karczek. W 2—3—4—5 i 6 rzędzie ściąg gładki bez ujmowania w 7—11 i 17 zmniejszamy o 2 oczka na początku i o 2 na końcu rzędu—przerabiając po 2 ocz. razem. Kiedy dojdziemy do poziomu linii 5—6 robimy gładkie 2 ocz. 2 na wywrót na wysokości 12-stu rzędów, ujmując na początku i na końcu 5—9 i 12 rzędu po 2 oczka. Gdy dojdziemy do 12-go rzędu oczka spuścić i zakończyć karczek. Wskutek ujmowania oczek

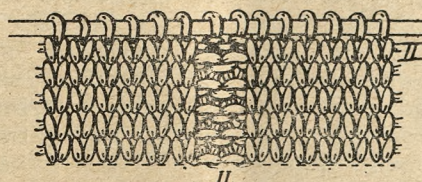
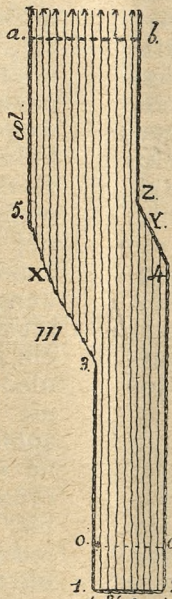


kształt jego powinien być lekko zaokrąglony. Kołnierz i jego przedłużenie, formujące kłapy Rys. Nr. III zaczynamy od dołu (patrz linia 1—2), robiąc 3 mil. kościanymi drutami 36 oczek, ścięciem gładkim, czyli pończochowym na 34 cm. wysokości, aż do Nr. 3-go. Od Nr. 3 go robimy rzędy na wysokość 9 cm. na poziomie X—4, przybierając co trzeci po jednym oczku tylko wzdłuż linii 3—X.

Od poziomu X—4 robimy rzędy do wysokości 7 cm. (patrz Nr. 5), przybierając w dalszym ciągu po jednym oczku co trzeci rząd wzdłuż linii X—5 i równocześnie ujmując po jednym oczku wzdłuż linii 4—Y na tych samych rzędach. Od poziomu linii 5—Y robić dalej rzędy na wysokość 3 cm., ujmując ciągle oczek wzdłuż brzegu linii Y—Z, nie przybierając więcej od strony Nr. 5. W tem miejscu szerokość roboty powinna być 13 cm. Od lit. Z robić tę szerokość na wysokość 15-stu cm. (patrz linia a—b). Tu kończy się połowa kołnierza. Drugą połowę robi się tak samo, uważając, żeby miała ściśle te same rozmiary—ujmując i przybierając oczka na odwrót. Wkońcu spuścić oczka i zakończyć. Połączenie karczka z kołnierzem (ryc. Nr. V) robi się, zbierając na nitkę górę karczka i ściągając go do szerokości 30 cm. U dołu kłap, z obydwóch stron, zrobić obręby 6 cm. szerokie (patrz linia 1—2 i 0—0, przyszyć kłapy i kołnierz od przodów i góry pelerynki jak to widzimy na Rys. V, przedstawiającym okrywkę złożoną na pół, na szerokość Szelki Rys. IV robi się na drutach stalowych, szerokie na 18 cm., długie 75 cm. ścięciem na wywrót. Po skończeniu, przyszyć szelki od wewnątrz, tak aby można skrzyżować je i związać z tyłu. Kołnierz i górę kłap odwinąć.

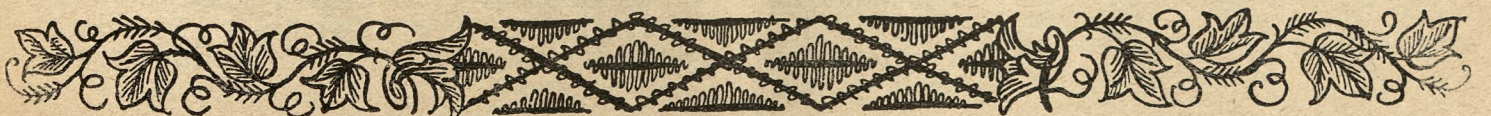


kształt jego powinien być lekko zaokrąglony. Kołnierz i jego przedłużenie, formujące kłapy Rys. Nr. III zaczynamy od dołu (patrz linia 1—2), robiąc 3 mil. kościanymi drutami 36 oczek, ścięciem gładkim, czyli pończochowym na 34 cm. wysokości, aż do Nr. 3-go. Od Nr. 3 go robimy rzędy na wysokość 9 cm. na poziomie X—4, przybierając co trzeci po jednym oczku tylko wzdłuż linii 3—X.



kształt jego powinien być lekko zaokrąglony. Kołnierz i jego przedłużenie, formujące kłapy Rys. Nr. III zaczynamy od dołu (patrz linia 1—2), robiąc 3 mil. kościanymi drutami 36 oczek, ścięciem gładkim, czyli pończochowym na 34 cm. wysokości, aż do Nr. 3-go. Od Nr. 3 go robimy rzędy na wysokość 9 cm. na poziomie X—4, przybierając co trzeci po jednym oczku tylko wzdłuż linii 3—X.

kształt jego powinien być lekko zaokrąglony. Kołnierz i jego przedłużenie, formujące kłapy Rys. Nr. III zaczynamy od dołu (patrz linia 1—2), robiąc 3 mil. kościanymi drutami 36 oczek, ścięciem gładkim, czyli pończochowym na 34 cm. wysokości, aż do Nr. 3-go. Od Nr. 3 go robimy rzędy na wysokość 9 cm. na poziomie X—4, przybierając co trzeci po jednym oczku tylko wzdłuż linii 3—X.





## PRZERÓBK I ODŚWIEŻENIA

Zrozumiałem pragnieniem każdej kobiety jest — być zawsze modnie i odpowiednio ubraną. Niestety marzeniem niełatwo dającym się ziszczyć. Ciężkie czasy z jednej strony, szalony galop mody — z drugiej. Nieraz suknia obstalowana i wykupiona z takim trudem, kosztem bolesnych ofiar i wysiłków budżetowych przy pierwszym włożeniu okazuje się — niemodną. Oczywiście nie należy tych spraw brać zbyt do serca, suknia ładna i w której jest do twarzy, nie przestaje być ładną suknią, chociażby wszystkie serdeczne przyjaciółki twierdziły chórem, że „ten krój noszono w Paryżu przed pół rokiem“.

Inna sprawa, że bohaterstwem byłoby paradowanie w tym sezonie w waziuchnej reszłorocznej tubce, zwłaszcza, że tak łatwo złemu zaradzić. Jeżeli się posiada kawałek tego samego materiału — nic prostszego, jak wstawić ukośne godety, które od razu zmienia wąski dół na kłoszowy. Oczywiście należy skrócić zesłoroczną suknię o dobre cztery palce, gorzej jeżeli nie była tak przezorna, aby zostawić kawałek materiału na zapas. Ale wtedy należy puścić w ruch całą praktyczną pomysłowość. Gładką suknię jedwabną zmieni i odświeży do niepoznania kłoszowa tunika, lub falbana z koronki. Oczywiście, gdyby się miało tę koronkę kupować, radziłabym raczej nabyć materiał na cztery nowe suknie. A w iluż to „kufrach drzemią bez

użytku przepiękne i bezcenne koronki, dzięki temu tylko nie spieniężone, że to nie przyszło nikomu do głowy, któżby zresztą kupił rzecz niemodną?... Otóż te sędziwe koronki należy znów powołać do służby czynnej, są ostatnim krzykiem mody. Ma to jeszcze tę dobrą stronę, że pani Nowobogacka obwieszona kosztowną imitacją będzie się z zazdrością przypatrywać ubogiej urzędniczce męża, strojonej w autentyczne vieux point d'Angleterre z wyprawy pra-



babki. Czarna jedwabną suknię można połączyć z jedwabiem w barwie pastelowej, lub złotą koronką. Trójkątne godety w dole, szerokie rękawy i kołnierzyk fichu Marie Antoinette zmieniają wąską niemodną suknię w model z ostatniego żurnala. Ogromną pomocą przy przeróbkach jest umiejętność haftu. Moda zostawia w tej dziedzinie smakowi indywidualnemu tak nieskończoną swobodę, że nieomal każde miejsce zaplamione, lub wytarte, każdy niepożądany szew — daje się zahaftować.

W wyborze materiału również swoboda nieograniczona: jedwab, włóczka, szelka aksamitna, złoty i srebrny szych, aplikacja, paciorki, perły, strass'y — pole dla pomysłowości szerokie i rozległe. Najładniej wyglądają przy sukniach wieczorowych hafty paciorkowe świecące. Ponieważ technika takiego haftu jest dziecinnie łatwa i prosta, a pomysłów dostarczają niemal wszystkie żurnale i wystawy magazynów, odrobina cierpliwości i odwagi może być wynagrodzona bajecznym rezultatem. Jeżeli wypadło coś nagłego, tak że suknie nie da się ani rusz przerobić, deską ratunku staje się wielka chusta włoska, lub hiszpańska z długą frendzlą. Zręcznie udrapowana owija szczerlnie całą sylwetkę, można jej nie zdejmować nawet w tańcu. Sukniom, które nie tyle wyszły z mody, ile się „opatrzyły“ można nadać odmienny charakter za pomocą szerokiego, kolorowego



paska zamszowego, rzędu kolorowych guziczków, wstawionej plisowanej kamizelki, zmianą wykładanego kołnierzyka na żabociek, lub odwrotnie. Osobom, nie mogącym sobie pozwolić na wiele toalet, radziłabym zrobić do czarnej jedwabnej, lub aksamitnej wieczorowej sukni, zapasowe długie rękawy na tiulowym staniczku i kamizelkę z koronki, lub georgette'y. W ten sposób zyskają dwie suknie: dzienną i wieczorową. Rozwijając ten pomysł dalej można zrobić



kilka odmian rękawów np. długie, aksamitne, luźne z białej georgette'y, bufiaste przymarszczone przy rękę w wąziuchny mankietik z tiulu, lub koronki.

Za każdym razem suknia będzie miała całkowicie odrębny charakter, a koszt zapasowej pary rękawów będzie nieznaczący. Przy przeróbkach należy suknię po spruciu starannie wyczyścić i zbadać, czy

materiał zasługuje jeszcze na przerobienie, to znaczy, czy nie będzie się rozłaził na szwach. Jest to ostrożność, której zaniedbanie mści się nieraz złośliwie, zwłaszcza przy przerabianiu czarnego jedwabnego płaszcza na suknię wizytową; materiał bywa często przepalony przez słońce. Lepiej się o tem przekonać zawczasu, niż narazić się na stracenie kosztów roboty i dodatków.

Well.

## „CZYŃ KAŻDY W SWOJEM KÓŁKU..“

Zdarza się, że ręce z pozoru najmniej ku temu powołane otworzą nam okno, przez które uderzy w nas fala błogosławionej światłości, światłości, w obliczu której męczące problemy nie do rozwiązania stają się łatwe, proste—przekreślone.

Objawienie takie zeszło na mnie pewnego dzdźystego popołudnia, spędzonego w ciasnym, skromnym i szarem mieszkanku ludzi, których dola zdawałaby się nie do pozazdroszczenia.

Dwoje małych dzieci, ciasnota, niedobory materialne, skala potrzeb i dążeń przewyższające o całe niebo przyziemną, marną rzeczywistość! Wrażenie, wywołane całokształtem tego, co widziałam i co wyczuwałam, złożyło się na utajone w głębi świadomości, ale niemniej żywe i szczerze współzuciel! Aż oto z cichej pogawędki, niby kwiat ku słońcu, strzeżono zdanie, którego byłabym się najmniej spodziewała—zdanie pełne niezrozumiałości, rzadkiej treści: „nie uwierzysz jak bardzo, jak prawdziwie jestem szczęśliwa!“ Znak zapytania, w jaki zmieniłam się cała, uderzył najwidoczniej świadomość tej, co na szalę moich wrażeń rzuciła to zadziwiające wyznanie.

„Szcześnie moje polega na prostym ujęciu życia i obowiązków, jakie mi przypadły w udziale. Przemęczyłam się tak krwawo przez pierwsze lata, tyle wysiłku włożyłam w poderwanie się do lotu i tak bardzo boleśnie rzeczywistość biła o moje skrzydła, że wybrałam to, co pozwala mi budować, a nie burzyć—budować w małym, w moim własnym zakresie, a jednak z poczuciem, że miejsca mego nie zajmuję napróżno, że gdyby mnie zabrakło—zostałaby po mnie opuszczona placówka i pustka“.

W tych niewielu słowach zamyka się historia całego szeregu istnień wykołejonych urodzeniem i wychowaniem w epoce, tak odmiennej od tej, na którą przypadła pełnia ich życia i czynu.

W szeregach kobiet, co wzrastały przed wojną, spotykamy na każdym kroku te, o których skrzydła boleśnie bije rzeczywistość—reczywistością tą jest wrywanie się z kręgu codziennego deptaka, wrywanie się bezowocne i daremne, raz ze względu na brak przygotowania do pracy o szerszym zakresie, lub z braku inicjatywy i umiejętności stworzenia sobie warsztatu pracy.

Racjonalnym jest, że tak radykalna zmiana warunków, jaką przyniosło ze sobą ostatnie dziesięciolecie, musiała odbić się na życiu jednostek i musiała wytworzyć typ kobiety, która, biorąc udział w życiu przed owym lat dziesiątkiem, jest dzisiaj nieszczęśliwie wykołejoną—jest tą, która przerosła i która równocześnie nie dorosła.

Typ takiej kobiety jest bodaj typem, któremu ewolucja lat ostatnich największą wyrządziła krzywdę, a jednak w nas samych leży moc wyrwania się z błędnego koła, co zawarło się niby pierścień udręki.

Pierwsza rzecz, to spojrzenie twarz w twarz rzeczywistości i szczerzy, uczciwy obrachunek z samą sobą, wyrwanie się z kręgu nieszczęsnych żali nad „zmarowanym życiem“ i mocna nieugięta wola spełnienia przypadającego na nas obowiązku tak, jak nas na to stać najdoskonalej. Dalej zrozumienie, że niema pracy poniżającej i wywyższającej, jeżeli zadanie swoje spełniać będziemy nie jak zło konieczne, ale z prawdziwym zainteresowaniem i oddaniem, że w każdej najbliższej czynności leży zarodek poezji, bo każda praca wykonywana całą duszą, każda praca, którą chcemy osiągnąć pewien stopień doskonałości, jest pracą twórczą.

A więc te z nas, które czują się zdegradowane brakiem cenzusów naukowych, niemożnością zajęcia miejsca przy tak licznych dziś warsztatach pracy fachowej, których wiek nie odpowiada szkoleniu się, a którym warunki życiowe dały największy skarb—dom i rodzinę, niech spróbują wyleczyć się z goryczy i żalu, jakim wezbrała ich dusza, zrozumieniem wielkiej prawdy, jaka zawarła się w słowach poety: „czyń każdy w swoim kółku, coć każe duch Boży, a całość sama się złoży“.

I oto jest „proste ujęcie życia“, które wygładziło czoło mojej młodej przyjaciółki, odganiając z niego chmurę buntu i goryczy! Pojęła, że każda placówka jest ważna i każda rola na wielkiej scenie życia może być bohaterska.

Ażeby ująć te rzeczy w sposób mniej oderwany, odtwórzmy sobie obraz domu, w którym króluje „zapoznana.“ Płaci ona zwykle wszystkim i wszystkiemu tą samą monetą, którą, jakoby, jej płaci życie. W domu takim jest bezład chłód wieje z każdego kąta, godziny posiłków są „jakie Bóg da,“ stół nakryty niedbale, dzieci zbywane niecierpliwie i z rozdrażnieniem, sługi zmieniają się z szybkością poszczególnych obrazów kinematograficznych—mąż—zaorany, z taką trudnością wiążący koniec z końcem, mąż, jest niedość rycerski, niedoceniający łaski, jaka mu przypadła w udziale, łaski zamieszkiwania niedbale prowadzonego domu i zapracowywania się byle podołać bezładowi, w którym wszystko tonie, jak w otchłani.

Osoba, która stwarza dokoła siebie podobne warunki—nie robi tego, broń Boże, przez złość, lub okrucieństwo, nie robi tego nawet przez nieumiejętność stworzenia czegoś lepszego.

Ona cierpi prawdziwie i czuje się szczerze nieszczęśliwą i upośledzoną, że musi żyć „takim życiem“. Trawi czas na wypatrywanie cudownych miraży, które powinny być jej przypaść w udziale i—rzecz najczęstsza, robi odpowiedzialnymi za swoje „złamane życie“ wszystkich, tylko—nie siebie. Stworzona jest przecież ze swojemi zdolnościami



i swoją inteligencją, nie mówiąc już o warunkach zewnętrznych do „czegoś więcej“, jeżeli już nie do pracy twórczej.

A gdzie dla kobiety większe pole do tej właśnie pracy twórczej, jeżeli nie w królestwie, które ma na imię: „dom“. Dom, co stać się może rajem, lub piekłem — gniazdkiem, lub zaniedbanym śmietnikiem. Najważniejszym czynnikiem twórczym jest tutaj kobieta i to tylko kobieta. Nawet siła zła, która jest tak wielka, ustępuje przed jej cudotwórczością. Bo te, które nie szukają „szerokich horyzontów“, które kochają swoją pracę, a drobne jej udręki podporządkowują wielkiemu dziełu tworzenia piękna, dobra i ładu dokoła siebie, tworzą prawdziwe cuda. I doprawdy dla postępowych, dla wyzwolonych, co odrzuciły przesady, śmieszna może jest jednostka, która ze ściereczką od kurzu, ze szczotką, pendzlem, igłą, nożyczkami, rondlem, wiązą świeżego kwiecia, barwnym kretonem, ślicz-

nie haftowaną 'serwetką,' książką [rachunkową, a wreszcie z dobrym, szczerym i wyrozumiałym uśmiechem — dąży ku doskonałości.

Z drobnych, mozolnych i krwią serdeczną niejednokrotnie skrapianych cegiełek, wznosi gmach swój, gmach świetlany i czysty, gmach w którym mieszka, jeżeli już nie szczęście, ten ptak kapryśny, a nieujęty, to najwyższe dobro życia: poczucie spełnionego uczciwie i bez zastrzeżeń — obowiązk

Jeżeli narody wschodu, jako dewizę ryją na kosztownych amuletach sentencję: „Każdy człowiek przychodzi na świat z losem swym, jak sznur pereł, zawieszonym u szyi“ — my kobiety polki, wyrwijmy się z pod niezdrowego czaru fatalizmu jaki panuje ogólnie i idźmy w życie w myśl wierzenia, że: „Każdy człowiek jest kowalem własnego losu“ i starajmy się na kowadle życia wykuć coś najbardziej zbliżonego do arcydzieła. *N....ska.*

## REFORMA GOSPODARSTWA DOMOWEGO

(Przyczynki do racjonalnego urządzenia mieszkania)

Pod względem budowy domów poczyniono w ostatnich czasach, zarówno na Zachodzie, jak i u nas, znaczne postępy. Zwraca się coraz baczniejszą uwagę na to, by okna skierowane były na południe, lub wschód, by dom czynił estetyczne wrażenie, zbudowany był z trwałych, nieprzepuszczalnych materiałów, posiadał odpowiednie urządzenia higieniczne i otoczony był mniejszym, lub większym ogródkiem. To wszystko naturalnie w miarę środków; ale wobec braku pieniędzy wogóle wszelkie rozważania teoretyczne są bezsilne...

Rola przyszłych mieszkańców ogranicza się do inteligentnej współpracy z architektem i udzielania mu spostrzeżeń, dotyczących indywidualnych gustów i potrzeb. Baczna uwaga należy zwrócić na rozkład mieszkania, przede wszystkim na odległość kuchni od pokoju jadalnego. W domu, który zamieszkuje oddawna, zbudowanym, nawiasem mówiąc, przez znanego powszechnie architekta, pokoje te są połączone długim, krętym korytarzem, opalany dwoma piecami. Zda się, budowniczy chciał zademonstrować, jak czynić nie należy... Skutki łatwo sobie wyobrazić:

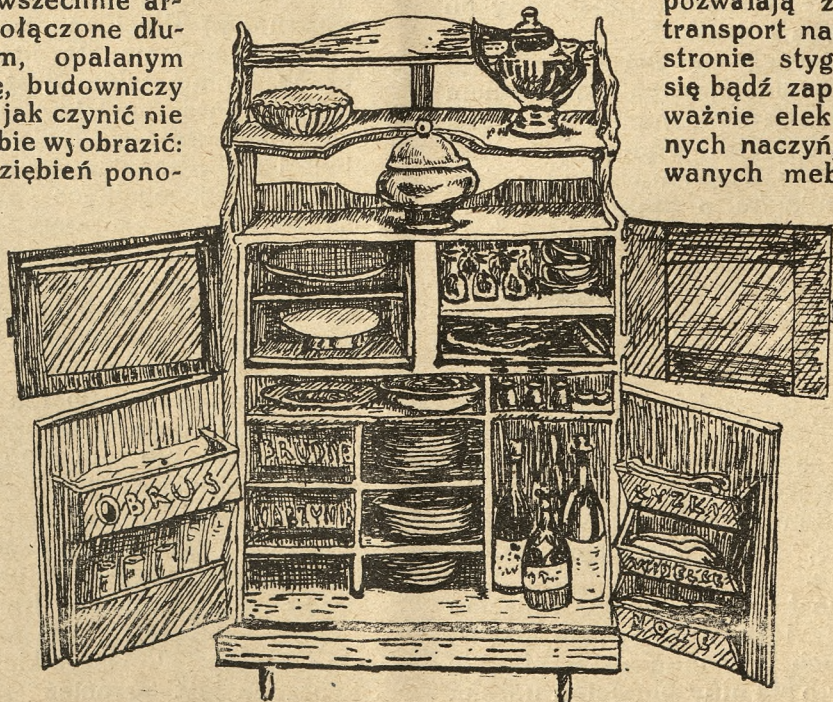
Dla uniknięcia przeziębień ponosi się znaczne koszty opalania, na bieganie tam i napowrót pani domu i sługa, stale przemęczone (bo, jak wiadomo, nic nie nuży bardziej od dreptania po domu), tracą co najmniej pół godziny dziennie; potrawy przybywają zimne na stół.

Zwyczał budowania korytarzy ma naturalnie swoje przyczyny. Przede wszystkim chciano tym sposobem oddzielić „służbę“ od „państwa“\*). W miarę

podnoszenia się poziomu kulturalnego służby, a tembardziej jej zanikania (o zjawisku tem mówiłam w swoim czasie), argument powyższy odpadnie.

Następnie obawiano się swędu. Kuchnia gazowa (dobrze funkcjonująca) i elektryczna nie przedstawiają tej niedogodności. Zapachom kuchennym też można, jak sądzę, zapobiec przez odpowiednią wentylację i szczelnie zamykające się drzwi. We własnym domu sprawy te są o tyle uproszczone, że kuchnię umieszcza się często na innym piętrze (przeważnie niższym) i transportuje naczynia i potrawy zapomocą dźwigu.

W lokalu odnajętym nie zawsze można naprawić wadliwy rozkład. Wtedy trzeba starać się pomniejszyć tę niedogodność. Znane są coraz więcej stoliki na kółkach, zaopatrzone w jedną lub parę półek; można na nich przewozić nakrycie stołowe, podwieczorki, kawę poobiednią, pozwalają zredukować do minimum transport naczyń i jedzenia. Ujemnej stronie stygnięcia potraw zapobiega się bądź zapomocą ogrzewaczy, przeważnie elektrycznych, bądź specjalnych naczyń, bądź wreszcie przesuwanych mebli, zaopatrzonych w komory, utrzymujące ciepło na wzór termosów.



\*) Nieraz pokój służbowy jest tak ciemny i ciasny, że służące zmuszone są także wieczornymi siedzieć w kuchni, w czym nie widzę zresztą nic złego, pod warunkiem odpowiedniego urządzenia i oświetlenia kuchni i zupełnej swobody służby. Ale i śpianie służby w kuchni nie należy do rzadkości; znam nawet przypadki, że stół kuchenny służy w nocy jako łóżko...



Mebel tego typu widziałam w sklepie Instytutu Organizacji Gospodarczej w Paryżu; zwie się *Petronela*\*\*), na cześć służących francuskich tego imienia. Jest to komoda z drzewa bukowego, szerokości 80 cm., z profilu 40 cm.; porusza się nadzwyczaj lekko na czterech gumowych kółkach. Zawiera wszystko, czego trzeba podczas posiłku 6 osób (rysunek „*Petroneli*” załączamy).

Zbyteczne dodawać, że mebel ten ma nieocenione zalety także z punktu widzenia zaoszczędzenia służby; gospodyni nie musi zrywać się co chwila od stołu, lub w braku kucharki, stać przy piecu; może włożyć do „*Petroneli*” gotowy obiad z paru dań.

\* \* \*

Rozkład reszty mieszkania jest zależny od ilości członków rodziny, ich wieku, zajęć, stosunków wzajemnych. W jednym wypadku lepszy jest system korytarzowy, dający rękojmię ciszy i niezależności, w innym amfilada (pierwszy system jest wskazany dla pokoi dzieciennych i gościnnych).

\* \* \*

Ważną, niedocenianą nieraz sprawą jest rozmieszczenie drzwi i okien, od których zależy t. zw. ustawność pokoi, oraz stopień ich izolacji. Jeśli mowa o oknach, przypominać, że obowiązkiem właściciela domu i lokatora jest zwrócić uwagę na sposób ich otwierania i mycia, wiadomo, ile młodych istnień ludzkich uległo ciężkiemu kalectwu lub śmierci wskutek wadliwego systemu okiennego. A przecież tak łatwo temu zaradzić, zwłaszcza przy budowie nowych domów?

\* \* \*

Zanim się zdecyduje o wysokości pokoju, jakoteż o tem, czy się pomaluje, czy wytapetuje ściany, czy też wyłoży się je drzewem—należy koniecznie zasięgnąć rady higienisty, to samo dotyczy podłogi. Wystarczy przeczytać parę numerów amerykańskich pism kobiecych, by zdać sobie sprawę z tego, ile jest sposobów ładnego i higienicznego pokrycia murów i podłogi; drzewo, wapno, kafle, linoleum, lakiery stoją tu do dyspozycji. Niestety nasi higieniści

mało się dotąd zajmują, że się tak wyrażę, towaroznawstwem w odniesieniu do zdrowotności, zapewne dlatego, że nasz inteligent rzadko miewa wątpliwości, któreby chciał poddać ocenie specjalisty; nauka o profilaktyce chorób ma, zdaniem jego, zastosowanie tylko do ciemnego tłumu. Bezsprzecznie, wpajanie w masę elementarnych zasad czystości jest stokrotnie ważniejsze od subtelnych rozważań na temat wyższości linoleum nad posadzką—ale czyż jedno drugiemu stoi na zawadzie? Naturalnie zawsze kierować się trzeba przede wszystkim własnym zdrowym rozsądkiem. Higienista np. zapewne pomstować będzie przeciwko używaniu dywanów, kilimów, pluszu na pokrycie mebli i t. p., jako rozsodników kurzu, wtedy zważyć wypada, czy się rozporządza wysaszaczem elektrycznym, który spowodował małą rewolucję w tej dziedzinie. (Czy nie temu możnaby przypisać uderzający każdego, kto zwiedził Wystawę Sztuk Dekoracyjnych w Paryżu, powrót do wygodnych pluszowych foteli i kanapek, po modzie mebli prostych i hieratycznych, wyściełanych skórą, ryplem i t. p.). W każdym wypadku kwestja pokrycia murów i podłogi winna być inaczej rozstrzygnięta, zależnie od położenia mieszkania (wieś, przedmieście, centrum miasta), pietra, przeznaczenia pokoju. Nie ulega wątpliwości, że ściany kuchni i kąpielowego pokoju najlepiej pokryć wapnem, jasnym lakierem, lub kafkami. W kuchni jest wskazane lekkie pochylenie podłogi celem ułatwienia ścieku wody przy szorowaniu.

Jednym z najgorszych wrogów lokatora jest wilgoć ścian i sufitów, źródło ciężkich chorób. W tej dziedzinie dokonano w ostatnich czasach, jak doszło do mojej wiadomości, ważnego odkrycia. Inżynier belgijski, Knappe, stosuje w wilgotnych lokalach system drobnych otworków, wywiercanych pod pewnym kątem do podłogi; na zasadzie praw fizycznych wilgoć osiada na ściankach otworków, przenikając z wnętrza i w szybkim czasie wyparowuje. Podobno wypróbowano tę metodę z nadzwyczajnymi rezultatami w szeregu belgijskich i francuskich domów mieszkalnych i kościołów, gdzie miano zwłaszcza na celu ochronę od zagłady starodawnych fresków.

*Felicja Sachsówna.*

\*\*) *„Petronela”* została zaszczytnie wyróżniona na Kongresie Gospodarstwa w Lacken latem r. z.

## OCZYSZCZANIE SADÓW

Na wiosnę, gdy słońko, coraz więcej ciepła na ziemię zsyłając, budzi do życia pola i niwy, otrząsają się też ze snu zimowego drzewa owocowe naszych sadów. A wtedy każdy ciekawie wpatruje się w pączki, rychłol i rozsunie się na nich twarda łuska i wypuści na świat Boży kwiecie obfite, co nagie jeszcze, bezlistne gałęzi, niby pannę młodą do ślubu, bielą swych płatków ustroił Minie miesiąc jeden i drugi, a już tu i owdzie wisienka się czerwieni, wkrótce po nich wczesne gruszki dojrzeją i chyląc swoim ciężarem gałęzie ku ziemi, zdają się prosić o zerwanie ich z drzewa. A im bliżej jesieni tem więcej drzew darzy nas swemi płodami, które, chętnie kupowane, przynoszą znaczny dochód właścicielowi, znacznie większy, niżli rola.

Lecz jakże wywdzięczamy się drzewom za ich usługi? Czy [za smaczne, zdrowe owoce z równą

hojnością je wynagradzamy? Zaprawdę, gdyby drzewa umiały mówić, musiałyby wołać, że niema istot niedzięczniejszych, istot bardziej chciwych, niż ludzie!

Przyjrzyjmy się tylko przeciętnym sadom, o takim zwykłym, jakie tysiącami widzimy przy wiejskich dworach. Prawie wszędzie znajdziemy ziemię pod drzewami zarośniętą odwiecznym chwastem, lub murawą, pień otoczony mnóstwem wilków, nigdy nie wycinanych, które drzewa w krzaki, a sad w zwartą gęstwinę przekształcają, koronę zarośniętą tak, że słońce i powietrze nie mają do jej wnętrza dostępu, gałęzie połamane przez wiatr, lub ciężar owoców, albo przez plagę naszych sadów — żydów-sadowników, wreszcie owoce pokryte czarnymi plamami, drobne, niesmaczne i robaczywe. Większość sadów, zakładana przez ludzi pełnych dobrych chęci, lecz nieznających się na rzeczy, jest sadzona zbyt gęsto,



a wskutek tego gałęzie sąsiednich koron drzew krzyżują się, wzajem sobie przeszkadzają i ocieniają ziemię, w której korzenie nie znajdują już ani miejsca do rozwoju, ani tembardziej pożywienia, niezbędnego do wytworzenia smacznych i dorodnych owoców.

A przecież złemu zaradzić nie trudno, drzewo zaś stokrotnie zwróci poniesione na jego korzyść wydatki i pracę, chodzi zatem tylko o dobrą wolę i świadomość, w jaki sposób należy obdarzyć drzewo pomocą.

Wśród najpospolitszych wad naszych sadów wymieniliśmy zachwaszczenie, lub zadarnienie ziemi. Jest ono dopuszczalne tylko w ziemiach nazbyt wilgotnych, bo trawa pochłania dużą ilość wilgoci. Ten fakt jednak wyjaśnia nam, że pozostawianie trawy pod drzewami w innych warunkach jest bezwzględnie szkodliwe, gdyż suszy ziemię. Ale są jeszcze inne powody, dla których prowadzenie racjonalnej i systematycznej uprawy ziemi w sadzie jest konieczne. Najkorzystniejsza jest orka jesienna, bo wtedy powietrze i mróz mają dostęp otwarty, dzięki czemu rozkładają się zawarte w ziemi sole odżywcze, bez udziału mrozu nierozpuszczalne, ziemia w ostrej zostawiona skibie nabiera z powietrza fosforu, którego drzewa dużo zużywają na wykształcenie zasobnych w cukier owoców, a w czasie wiosennych roztopów skiby rychlej rozmarzają, niż ziemia twarda i rola wchłania więcej wilgoci, zatrzymującej się w zagłębieniach i brózdach podczas tajania śniegów.

Wskutek przewrócenia dość grubej warstwy ziemi w czasie orki wiele niedostrzegalnych dla naszego wzroku jajeczek i kokonów owadów szkodliwych zostanie tak głęboko zagrzebanych, że dzięki temu na wiosnę nie będą mogły się rozwinąć. A owadów szkodliwych jest dużo, walka z nimi jest trudna i bardzo uciążliwa, więc należy gorliwie stosować wszelkie środki mechaniczne, które mogą zmniejszyć tę plagę. Dlatego w sadach, w których ziemia na jesieni nie została zorana, trzeba to uczynić wiosną, gdy tylko ziemia przestanie się lepić do obuwia, a jeśli warunki atmosferyczne pozwolą, to i w zimie bez obawy można wejść z pługiem do sadu.

W Nrze 45 „Bluszczu“ z roku zeszłego pisaliśmy obszernie o jednym z bardzo groźnych szkodników drzew owocowych — „Przedzimku owocowcu“, który jesienią wchodzi po pniu na drzewa i w koronie, na młodych gałązkach, w sąsiedztwie pączków, składa pojedynczo mnóstwo drobnych jajeczek. Z nich wyłęgna się larwy wczesną wiosną i rozpoczną niszczyielską robotę. Przeciwko tym szkodnikom w porze zimowej można tylko zastosować zraszanie całych drzew, aż do wierzchołków korony, mlekiem wapiennym przy pomocy odpowiednich opryskiwaczy. Warstwa wapna zasklepi wszystkie szczeliny, pokryje jajeczka nieprzenikliwą dla powietrza powłoką, pod którą ulegną one zaduszeniu, a wiele z nich spadnie też na ziemię razem z odpryskującą od gałęzi powłoką wapienną.

Są inne jeszcze owady, które w postaci gotowego motyla, a częściej, jako poczwarka, lub jajka, zimują w szczelinach kory. W celu tępienia tych wrogów naszych sadów należy corocznie starannie zeskrobywać łuszczącą się warstwę kory, nie obnażając wszakże, a tembardziej nie kalecząc tuż pod nią leżącej żywej tkanki. Najodpowiedniejszą do tego porą są ciepłe dni lutowe i w początku marca, gdyż wskutek odwilży łuski nasiakają wodą i łatwo dają się zeskrobywać specjalnymi skrobaczkami, tęnym nożem, lub sierpem, albo odpowiednio zestruganiem drewnem.

Po takim mechanicznym oczyszczeniu należy wymalować pnie i grube konary gęstym mlekiem wapiennym, które sprawia, że: 1) ukryte larwy, jajka i kokony dusza się wskutek braku dostępu powietrza; 2) własności trawiące wapna rozmiękczają korę i czynią ją rozciągliwszą; 3) biała barwa wapna osłabia działanie wiosennych promieni słonecznych, pobudzających, wskutek nagrzewania pnia, południową jego stronę wcześniej do życia, niż północną, czego wynikiem są szkody, wyrządzone następnie przez mrozy. Z tego względu bielenie drzew powinno mieć miejsce pod koniec zimy. Wapno należy brać świeżo lasowane, a więc posiadające jeszcze wszystkie właściwości gryzące. Stan. Schönfeld.

## ŚLEDZIE

Jeden z produktów zagranicznych, bez których się obejść nie można, gdyż w wielu okolicach kraju, gdzie o ryby trudno, muszą one przez post cały te ryby zastępować, a wszędzie, w mieście i na wsi, wobec niepomiernej drożyzny ryb rzecznych i małego dowozu ryb morskich są najczęściej spotykaną potrawą klasy pracującej i niezamożnej inteligencji. Jest cała masa gatunków śledzi od delikatnych królewskich ulików, dochodzących w cenie do złotego za sztukę, do prostych, twardych śledzi, tak zwanych „do marynowania“ w cenie kilkunastu groszy. Pochodzą one z Holandji, Szkocji i Norwegji. Te ostatnie bardzo duże, twarde i mniej delikatne w smaku dają się przyrządzać w najrozmaitsze sposoby i stanowią nieocenione źródło dań w oszczędnej, a pomysłowej kuchni.

Śledzie holenderskie „Matjates“ i inne stanowią wykwintną przekąskę po wódce, przeważnie nie trzeba ich wcale moczyć, po umyciu zdejmuje się z nich skórę, usuwa ości bardzo starannie, można co najwyżej połać je dobrą oliwą, lub sosem majo-

nezowym. Jeden duży błąd popełniają nieraz kucharki nasze, po zdjęciu skórki raz jeszcze myją śledzia. Nigdy tego robić nie należy. Śledź dobry jest pokryty delikatną warstwą tłuszczu, który, zmywając, odbieramy mu najcenniejszą część smaku. Śledzie takie można posypać szczypiorkiem, ubrać grzybkami marynowanymi, sałatką jarzynową, piklami, korniszonami, jajami na twardo, rzerzuchą itp., zawsze się je podaje jednak na surowo, są zbyt kosztowne i zbyt delikatne do używania ich do kuchni. Ze śledzi szkockich niektóre gatunki nie ustępują w smaku holenderskim, te się oczywiście używa na surowo, mniej delikatne nadają się do marynowania w occie, lub oliwie. Osobom, nie znoszącym octu, ten ostatni sposób szczególnie polecam, jest on prosty i łatwy. Śledzie nieco wymoczone, (nie nadto, gdyż leżąc w oliwie i tak już część soli traca), układa się w słoje, lub salaterkę, przekładając jabłkami, krajanami w talarki, paru listkami, paru goździkami i trochę pieprzu w ziarnkach i zalewa dobrą, świeżą oliwą francuską, lub włoską, przyciska



talerzem, lub denkiem drewnianem i kładzie na to mały ciężarek, oliwy powinno być tyle, aby po przyściśnięciu pokrywała zupełnie śledzie. Po 24 godzinach już je można używać.

Wyborne też są śledzie szkockie marynowane w sosie majonezowym. Robi się zwykły sos majonezowy, zaostrza nieco angielską musztardą i zalewa nim ułożone w słoju, w pierw starannie oczyszczone z ości, śledzie.

W obu wypadkach skórę można zdjąć, lub pozostawić na śledziu, zależy to zupełnie od upodobania gospodyni. Rozmaite sposoby marynowania w occie z cebulą, lub bez cebuli, z oliwą, lub bez niej, z mleczkiem rozcieraniem i t. p., są powszechnie znane, natomiast niedawno jadłam wyborne śledzie marynowane w gęstym sosie, złożonym z tartych jabłek, mleczka, oliwy i soku cytrynowego, gdy tylko ten przepis zdobęde nie omieszkać podzielić się nim z czytelniczkami „Bluszczu“, tymczasem jest on pilnie strzeżony przez jego, widocznie zazdrosną z natury, właścicielkę.

Poza jedzeniem na surowo i marynowaniem, śledzie szkockie nadają się do smażenia, na forszmaki i kotlety, do zapiekania z kartoflami i do szeregu innych potraw. Najtańsze ze wszystkich śledzie norweskie, ze smaku i wyglądu bardzo przypominają rozpowszechnione przed wojną śledzie astrachańskie, pochodzące z morza Kaspijskiego. Jeść na surowo mogą je ludzie o bardzo niewybrednym smaku, po zamarynowaniu jednak są zupełnie dobre, — marynować ich jednak w oliwie chyba nie warto, gdyż oliwa dzisiaj przy wysokim ole, jest artykułem drogim, a norweski śledź wykwińskiego smaku nigdy nie nabierze. Na śledzie, siekane z jabłkami, lepsze są też śledzie szkockie. Natomiast norweskie śledzie najbardziej nadają się do smażenia, gdyż ich mięso twardsze mniej łatwo się rozpada. Wszelkie forszmaki, kotlety i tem podobne potrawy ze śledzi doskonale z nich się udają.

Są one przytem znacznie tańsze od innych gatunków i znacznie większe, co w dzisiejszych tak bardzo ciężkich czasach ma duże znaczenie. *Pani Elżbieta.*

## PRZEPISY GOSPODARSKIE

### ŚLEDZIE SMAŻONE Z SOSEM GRZYBOWYM.

Ile śledzi, tyle bułeczek warszawianek. Śledzie wymoczyć, oczyścić z ości, odrzucić głowy i ogony. Bułeczki, dobrze rozmoczone, wycisnąć z wody, dodać sporą cebulę, wszystko razem przepuścić przez maszynkę, dodać tyle tartej bułeczki, aby można było masę formować. Porobić z tej masy wałeczki rozmiaru śledzia, utarzać je w mące, smażyć do zrumienienia na maśle, robić to przed samem podaniem. Oddzielnie podać do nich sos grzybowy, zrobiony z kilku suszonych grzybów prawdziwych, ugotowanych i pokrajanych w paski i łyżki masła zasmażonego łyżką mąki, — rozprowadzić to smakiem z gotowanych grzybów, zagotować raz i włożyć łyżkę kwaśnej śmietany. Można też do takich śledzi podać purée kartoflane, lub wprost kartofle z wody.

### JAJECZNICA ZE ŚLEDZIEM.

Trzy śledzie, dobrze wymoczone, oczyścić z ości, pokrajać drobno, przesmażyć w dużej łyżce masła z drobno pokrajaną cebulą. Ułożyć tę masę na dno nelsonki, płaskiego rondla, lub głębokiej patelni. Sześć, lub siedem jaj rozbić dobrze w garnku, dolewając tyleż łyżek mleka, osolic i wylać na śledzie. Nie mieszając, wstawić do pieca na kwadrans, lub więcej, aż się jaja zetną. Podawać gorące w tem samem naczyniu. Dobra potrawa śniadaniowa.

### ROLLMOPSY.

Duże śledzie twardego, białego gatunku wymoczyć, odjąć głowy i ogony, wyjąć ości, nie naruszając mięsa i pozostawiając skórę w całości. Przygotować gorczyca w ziarnkach, nieco tłuczonego pieprzu po połowie z zielem i twardego, kwaszonego ogórka, pokrajany w grube kawałki długości palca. Każdą połówkę śledzi posypać ziarnkami gorczyca i pieprzu, owinąć szczelnie około kawałka ogórka i zatknąć malutkim patyczkiem drewnianym, aby się nie rozwinęło. Rollmopsy ułożyć w naczyniu porcelanowym, lub szklanym słoju i zalać lekkim octem. przegotowanym z cebulą i pieprzem i doskonale wystudzonym. Robione w domu są o dwie trzecie tańsze od kupnych, gotowych.

### MASŁO ŚLEDZIOWE.

Śledzia różowego, ulika najstaranniej oczyścić z ości i skórki, odrzucić głowę i ogon, utłuc w morderzu. Na misce rozegrzać dwadzieścia deka najlepszego, śmietankowego masła, utrzc to na śmietaną, dodać masę śledziową, parę ziarn utłuczonego ziela i ucierać, aż masa się stanie zupełnie jednolita. Uformować zgrabny wałeczek, zastudzić. Masło takie podaje się w plasterkach do różnych ryb gotowanych: karpia, sandacza, łososia, jesiotra i t. p., lub też między przekąskami do wódki, jest też wyborne do smarowania kanapek i sandwiche'ów.

### FLAKI POSTNE.

Osierdziesiąt deka marchwi, czterdzieści deka pietruszki, dwadzieścia deka cebuli, jeden seler zblanżerować, poszatkować w paski i ugotować w krótkim sosie z solą, z kilku ziarnkami pieprzu i kawałkiem masła. Ugotować szklanę krakowskiej kaszki z wodą, masłem i solą na gęsto, dodać łyżeczkę utartego majeranku, wyłożyć na półmisek, wygładzić i zastudzić. Z jednego jajka, pół szklanki mąki i wody upiec zwykłe, cienkie naleśniki, pokrajać je w paski (jak flaki). Zrobić zasmażkę z łyżki masła, zaprawić ugotowane jarzynki, dodać majeranku, pieprzu tłuczonego, kwiatu muszkatełowego i imbiru, wymieszać z kaszką pokrajaną w kostkę, ułożyć na półmisku, posypać makaronem z naleśników, polać masłem zrumienionem z tartą bułeczką.

### LEGUMINA WAFLOWA, KAWOWA.

Upiec wafle, ułożyć w ładnej nelsonce, lub<sup>2</sup> głębokim, metalowym półmisku. Ugotować dobrej aromatycznej kawy, zmieszać ją zparzoną śmietanką jak do picia. Trzy żółtka utrzc z trzema ćwierciami szklanki cukru, zmieszać to z kawą, dodać ubite na sztywną pianę białka, zalać tem wafle,

„MÓJ KREM“ znak ochronny „Żmija“

1) działa jako środek ochronny na zmianę temperatury; 2) przeciw zmarszczkom; 3) dla wybielenia i wygładzenia skóry; 4) do masażu; 5) nadaje się do stałego użytku pod puder i róż

DR. J. ŚWITALSKIEJ

SKŁAD GŁÓWNY: TOW. ARC. KARPIŃSKI  
Warszawa, ul. Elekoralna 35.

„MÓJ PUDER“

(puder higieniczny)

we wszystkich kolorach i odcieniach



uwając, aby wszędzie równo przejęło. Wstawić na dwadzieścia minut do niezbyt gorącego pieca. Podawać na gorąco w temże samem naczyniu.

### LEGUMINA Z CZARNEGO CHLEBA.

Pół kilo zupełnie czerstwego, czarnego chleba utrzeć na tarce. Metalowy półmisek wysmarować grubo masłem. Sześć jabłek obrać z łupin i pokrajać drobno. Układać na półmisku warstwami, chleb tarty i jabłka, posypując cukrem, utłuczonym z cynamonem i kawałeczkami masła, (cukru dużą szklanekę, a masła 10 deka). Pierwsza i ostatnia warstwa powinna być z chleba. Piec w bardzo letnim piecu conajmniej godzinę, gdyby piec był gorący, przykryć przewróconą dnem do góry miską glinianą. Do tej leguminy podaje się zimne mleko.

\* \* \*

### RZECZY NAJPROSTSZE.

Kotlety kartoflane. Starannie i umiejętnie przyrządzone mogą być wyborne. Kilo kartofli ugotować z łupinami, obierać dopóki gorące i zaraz przepuścić przez maszynkę do mięsa. Dużą cebulę drobno pokrajaną przesmażyć z łyżką masła lub szmalcu. Włożyć to do kartofli, wsypać też łyżeczkę tartego majeranku, kto zaś majeranku nie lubi niech doda szczyptę pieprzu. Wbić duże jajko i wsypać szklanekę mąki pszennej, osolić do smaku i wyrabiać tak długo, aż masa się zrobi zupełnie gładka i od ręki odstawać będzie. Na stolnicy przysypanej mąką uformować długi równy wałek z masy. Pokrajać na tyle równych części, ile chcemy mieć kotletów: nie robić dużych, bo się źle przysmażają, z tej ilości może być 10 — 12 sztuk. Formować zgrabne niegrube kotlety i smażyć w obficie roztopionym szmalcu lub masle do zrumienienia z obu stron. Do takich kotletów można podać oddzielnie sos grzybowy, rumiany, cebulowy, pomidorowy lub chrzanowy. Można też podać kwaszoną kapustę zaprawioną nieco oliwą i cukrem, sałatę z czerwonej kapusty lub zieloną sałatę ze śmietaną.

*Pani Elżbieta.*

### DOBRE RADY

Aby tacom i koszykom srebrnym wrócić połysk, trzeba wziąć łut kremortartari, rozpuścić w gorącej wodzie, posypać naczynie srebrne otrębami, maczać gąbkę w tej wodzie i myć nią srebro, a potem wytrzeć czystą ściereczką flanelową.

Złote łańcuszki, pierścionki i inne drobiazgi najlepiej myć szczoteczką, maczaną w wodzie z mydłem, dobrze wypłókać w czystej wodzie i wycierać skórką zamszową, lub bardzo miękką flanelą.

### KORESPONDENCJE DZIAŁU PRAKTYCZNEGO

*Nieuświadomionej z Sosnowca.*

Na szafeczkę najładniejsza będzie serwetka z samodiału haftowana kolorowo w tonie obicia i pokrycia na meblach.

Oprócz lampki postawić można wazonik nie-duży, wysmukły, w nim świeża gałązka, lub dekoracyjny kwiatek, jaki Pani w numerze 9 tym „Bluszczu“ zobaczy. We wnęce, wysłanej podobną do górnej serwetką, najlepiej będzie położyć książkę, którą

się czyta, i wszystko, co Pani lubi i potrzebuje mieć pod ręką. A więc: lusterko, perfumy, puder, jeśli Pani używa etc. Pokój powinien być utrzymany i ustawiony ładnie, ale zamieszkały, to jest pełen duszy człowieka, który go zajmuje, przedmioty leżące na wierzchu powinny mieć swoje zastoso-wanie, lub cel, a nie bezmyślnie zaprzętać kąty, a przedewszystkiem na oknach, na stołach i stolikach dużo kwiatów: ciętych, czy w doniczkach, ogrodowych, czy polnych, wszystkie dodają uroku najskromniejszemu nawet mieszkanku.

*Pani M. Mał.*

Plamy, o jakie Sz. Pani zapytuje, wywabia się, zanurzając splamioną sztukę, jak najprędzej w gorącym mleku, a następnie wypierając w czystej wodzie. Jeśli zupełnie nie puszczą użyć wody chlorowej, sprzedawanej w składach aptecznych i w drogerjach pod nazwą „Eau de Javelle“.

*Panu Generałowi J. R. w Warszawie.*

Dziękujemy za cenną wskazówkę, rzeczywiście roślina „Scorocenum“ nie była nam znana, choć posiada niezaprzeczalnie nader cenne warunki hodowli, jeżeli już tego samego roku daje się użytkować.

Artykułem o jedwabnikach pragnęliśmy zainteresować szeroki ogół, rozbudzić, zwłaszcza w ziemiankach zainteresowanie do pracy, która krajowi i im samym przyniosłaby duże dochody. Wdzięczne będziemy za wszelkie wskazówki, czerpane bądź z własnego doświadczenia, bądź też z przeczytanych dzieł. Artykuł, o którym Sz. Pan wspomina, trudny będzie do odnalezienia, bo nie wiem, czy kto posiada w Warszawie taki duży komplet tego pisma. Jeżeli je znajdziemy, nie omieszkamy skorzystać z łaskawie ofiarowanej nam pomocy Sz. Pana Generała.

*Niedoświadczonej w Kielcach.*

Niestety, pomimo starannych poszukiwań, nie udało mi się wynaleźć termometru, dającego się zastosować do zwykłego piecyka, pomimo to, że w takie termometry są zaopatrzone suszarnie do owoców i piece gazowe. O pieczeniu w zwykłych piecach, napiszę niebawem obszerniej, w kilku słowach nic się powiedzieć nie da.

Aparaty „Elektrolux“ są bezwzględnie bardzo praktyczne i przy odpowiedniem obchodzeniu się z nimi bardzo trwałe. Manipulować niemi może sama pani, lub pan domu. Trzyletnie działanie gwarantuje firma, t. j. w ciągu trzech lat wszelkie uszkodzenia nieumyślne reperuje bezpłatnie. Prądu używają niedużo, natomiast są dosyć drogie: mniejszy aparat kosztuje 215 franków szwajcarskich, większy (saneczkowy) 350 fr. szw., przy kupnie na raty dolicza się procent, który wynosi kilkadziesiąt złotych i więcej zależnie od czasu i kursu złotego. Miałam taki aparat, mniej udoskonalony przed wojną, przez dwa lata, — oszczędzał masę pracy i utrzymywał mieszkanie w idealnej czystości, — terazniejsze aparaty działają jeszcze sprawniej.

*Pani A. Z. — Tekłów.*

Dobry, tłusty, zwyczajny ser krowi najlepiej 3 tygodniowy puścić przez maszynkę, dodać drugie tyle utartego jakiegokolwiek bardzo ostrego sera, można użyć pozostałych skórek i kawałków, włożyć w rondelki miedziany, lub aluminiowy, spory kawałek masła — trzymać na wolnym ogniu, ciągle mieszając, aż się zupełnie rozpuści. Dobrze roztartą na ogniu masę zafarbować na jasno zielony kolor



odwarem z ziela, zwanego „fuenum grecum” (kupuje się w aptekach, a w Warszawie i w składach aptecznych), nalewać w foremki stożkowate, lub w szklaneckie małe — jak zastygna, wyjąć, ustawić na deseczce i obsuszać powoli, żeby nie popękały. Kto lubi, może dodać kostkę Maggi.

*Pani O. D.—Andrydów.*

Haft kolorowy można robić na każdego koloru płótnie, najładniej wychodzi na samodziale. Aplikacje jedwabne o tyle są nieawantażowne, że trzeba je brzegami zakładać, bo inaczej nitki będą się ujmowały.

## Z DZIEDZINY KOSMETYKI

*Irenie.*

Waselina, zwłaszcza stale używana, nie jest środkiem odpowiednim na cerę, nieoczyszczona drażni skórę i powoduje żółknięcie. Jeśli ktoś używał waseline, obecnie trzeba zmywać twarz wodą gorącą, spłókiwać zimną i natychmiast wcierać Mój Krem i lekko przypudrować. Po paru tygodniach skóra powinna wrócić do normy.

*Wadnowiance.*

Na skórę suchą proszę spróbować użyć Mój Krem—sposób użycia podany przy opakowaniu. Początkowo wcierać dwa razy dziennie przy skórze bardzo suchej, po 2 tygodniach wystarczy raz na noc.

*Małopolska St. M.*

1) Na ciemną plamę należy stosować środek silnie złuszczający, który bez zbadania skóry nie może być użyty.

2) Na ręce doskonały jest krem ogórkowy (Tow. Akc. Karpiński, Elektoralna 35).

3) Przeciw otyłości ukaże się w tych dniach w sprzedaży „Mój środek”, składający się z ziółek Jararaki, sposób użycia będzie podany przy opakowaniu.

Przy każdym odtłuszczeniu należy zastanowić się, czy istotnie potrzebne jest przeprowadzenie kuracji odtłuszczającej. W tym celu odmierza się wzrost, od ilości ctm. odejmuje się 100, pozostała liczba powinna się równać liczbie otrzymanej z ilości kg. wagi. Np. Jeśli ktoś ma 170 ctm wzrostu, to powinien ważyć około 70 kg. Jest to tylko szemat ogólny, do którego jednak trzeba się stosować, by zbyt niemiernym odtłuszczeniem nie przynieść sobie szkody dla zdrowia.

4) Na suchą cerę proszę spróbować użyć „Mój Krem”.

5) Do czyszczenia jamy ustnej proszek do zębów, pasta i eliksir — Karpiński Tow. Akc., Warszawa, Elektoralna 35.

*Stroskanej Matce.*

Proszę przeczytać „Higienę kobiety” Dr. Śmiarowskiej, znajdzie pani tam wszystkie odpowiedzi na zadane mi w liście pytania. Jak się kobieta ma zachować podczas ciąży? Czy należy prowadzić specjalną dietę? Czy podczas ciąży konieczne jest noszenie pasa? „Higiena kobiety” dr. Śmiarowskiej jest jedną z najlepszych popularnych książek z tej dziedziny i powinna się znaleźć w każdym domu dobrej myślącej kobiety.

*Ziemiance.*

Przy obfitem poceniu się całego ciała, połączonym z nieprzyjemnym odorem, należy często się kąpać. Do kąpieli używać soli aromatycznych. Zapach może być dobrany dowolnie—fiołek, konwalja,

róża, jaśmin. Kąpiele tego rodzaju nadzwyczaj pożyteczne są dla całego organizmu, działają orzeźwiająco, stwarzają dobre samopoczucie, uspakajają nerwy. Również na skórę działają bardzo dodatnio, wygładzają chropowatości, rozmiękczają naskórek, przv t. zw. gęsiej skórcie oddają nieocenione usługi. Przy używaniu soli aromatycznych wskazana jest kąpiel 2—3 razy w tygodniu, temp. 28—30 stopni, nie dłużej nad 15 minut.

Sole aromatyczne bardzo dobre wyrabia firma Karpiński Tow. Akc.

*Balbinie w Częstochowie.*

Przy obrzękach i bolesności, występujących po uderzeniu, najlepiej jest zastosować okład kwaśnej wody—łyżka na szklanek wody.

Zamoczyć watę, dobrze wycisnąć i robić okład pod ceratką.

Żle wyciśnięty okład może dać wyprysk bardzo przykry do leczenia.

*Recepta:*

Liquor Burovi 50 0 rozcieńczyć: łyżkę na szklanek wody wystawiać i przegotowanej.

*Elegantce zmartwionej z Lublina.*

Brodawkę na nosie usunąć koniecznie potrzeba. Nie radzę używać środków żrących, bo dają nieestetyczne blizny. Natomiast jedynie pewnie usunąć brodawkę można, stosując elektrolizę. Zabieg to b. łatwy i mało bolesny. Nie trzeba z tem przyjeżdżać do Warszawy — w Lublinie można zrobić na miejscu u któregoś z tamtejszych lekarzy.

*Matce Z. Z.*

Bramą infekcji przeziębienia jest gardło, a nie zaś migdałki. Najlepiej uczyć dziecko płókać gardło od najmłodszejszego wieku dla zapobiegnięcia choroby.

Córeczka Pani, dama pięcioletnia, może doskonale już płókać gardelko. Należy to uskutecznić 2 razy dziennie następującym płynem:

Na szklanek wody letniej łyżka wody utlenionej. W obecnym czasie trzeba jeszcze płókać po każdym spacerze.

*H. z B.*

Co do zbyt żywych rumieńców Pani radzę stosować „Mój Krem” jako środek ochronny, do czego się specjalnie nadaje. Używać codzień rano, zwłaszcza przed wyjściem na zimno lub gorąco, przytem należy twarz często pudrować.

*Wdzięcznej Czytelniczce.*

Na wiosnę wybieram się z odczytami na prowincję, do Lwowa, Krakowa, Łodzi, Lublina i Wilna, z przyjemnością przyjadę i do Poznania.

Cieszy mię bardzo zrozumienie metody mej pracy.

Kiedy będę w Poznaniu, zawiadomię Panie za pośrednictwem „Bluszczu” na parę tygodni przed moim przyjazdem.

*Maciusiowi.*

Nagniotki usunąć można przez wymoczenie nóg codzień 10 minut w ciepłej wodzie z sodą oczyszczoną, łyżka na miednicę wody. Po wymoczeniu i osuszeniu pendzlować przez trzy dni, dwa razy dziennie, Klawiolem. Środek dobry, niedrogi i bezbolesny. Podczas pendzlowania nie wolno nóg moczyć. Po trzech dniach zdejmuje się bezboleśnie nagniotek.

Jeśli się to nie da zrobić całkowicie, ponowić zabieg.



*Marlena.*

Na odmrożenie w lżejszym stopniu doskonale robi Albatherma dr. Wiegarda. Należy ją wcierać rano i wieczorem.

Natomiast przy silniejszym stopniu odmrożenia konieczne jest specjalne leczenie, które jednak bez zbadania niepodobna zaordynować.

Co do przyciemnienia brwi, radziłabym ufarbowanie Saphiriną dr. Frenkla — jest to bardzo dobry i nieszkodliwy środek, składający się z barwików roślinnych.

Na wypadanie włosów nic polecić nie mogę, gdyż absolutnie z listu zorientować się nie można, jaka jest przyczyna wypadania. A nie znając przyczyny nie można skutecznie radzić.

*Ewa, stała czytelniczka.*

Włosy tak bardzo tłuste należy starannie leczyć:

Rp. — Resorcini  
Sulfidol on. 10,0  
Spir. camph. 20,0  
Spir. vini rectific. 100,0.

Zewnętrznie na włosy — nacierać na noc.

Płyn ten przed użyciem zmieszać, nacierać 2 tygodnie, przerwać na tydzień, umyć głowę, znowu 2 tygodnie nacierać, przerwać na tydzień, umyć głowę i jeszcze raz przeprowadzić ten zabieg przez 2 tygodnie.

*J. A. Kielce.*

Proszę o podanie szczegółów, gdyż z listu Pani trudno osądzić stopień niedomagania.

Na węgry i łojotok lżejszego stopnia stosować trzeba spirytus salicylowy 2%, którym wycierać należy twarz 2 razy tygodniowo, na noc po uprzednim umyciu gorącą wodą, a na rano wetrzeć odrobinę kremu „Mój Krem“.

Przy silniejszym stopniu należy stosować specjalne leczenie. Łojotok jest cierpieniem skóry, bardzo uciążliwym do leczenia. Rezultat najlepszy daje odpowiedni masaż i parówki, trudne do zastosowania na prowincji. *Dr. J. Świtalska.*

## OPIS SUKIEN I ROBÓT DO Nr. 10

192. Suknia na ulicę, przybrana aksamitką. Kamizelka biała,

193. Suknia z dwóch kolorów w materiału, lub dwóch cieni koloru parme.

194. Suknia codzienna z jasną kamizelką.

195. Skromne wiosenne kapelusiki, parasolka i modne butonjerki.

196. Ubranko dla czteroletniego chłopczyka.

197. Sukienka z lekkiego w o a l u dla dziewczynki ośmioletniej. Plisy ciemniejsze, aplikacja koloru sukienki.

198. Strojna suknia z tafty, lub organdy dla młodej panienki

199. Suknia granatowa, przybrana kolorowym haftem.

200. Suknia z rezedowej popeliny, przybrana haftem.  
201. Kostjum granatowy dla młodej osoby  
202. Kostjum z wełny w kratę i gładkiego sukna.  
203. Kostjum z welwetu, przybrany haftem i futrem.  
204. Paltocik dla siedmioletniego chłopczyka  
205. Paltocik dla sześcioletniego chłopczyka.  
206. Sposób ułożenia toczka z długiego kawałka materji.  
207. Fartuszek dla małego dziecka.  
208. Ubranko dla chłopczyka pięcioletniego.  
209. Ubranko dla chłopczyka czteroletniego.  
210. Strojna bluzka, przybrana haftem.  
211. Bluzka, przybrana naszytami z ciemniejszego materiału.  
212. Strojna bluzka, przybrana haftem.  
213. Wzór na poduszkę, haft kolorowy.  
214. Serwetka na szarem płótnie na koszyczek do chleba.

**UWAGA:** Kroje modeli, umieszczonych w Dodatku Mód, dostarczamy w ciągu trzech dni po cenach następujących:

palto, lub suknia fantazyjna . . . . . zł. 3,50  
suknia zwyczajna . . . . . „ 2,50  
bluzka . . . . . „ 2,00  
formy dziecinne . . . . . „ 2,00  
bielizna . . . . . „ 1,50

Formy i wzory wysyłamy tylko po otrzymaniu przy zamówieniu należności w znaczkach pocztowych, lub przekazem.

Wysyłanie za zaliczeniem kosztuje więcej, niż forma, lub wzór i dlatego zapewne wiele pryncypałów nie wykupuje zamówień, narażając nas na duże straty.

Z powodu wynikłych nieporozumień wyjaśniamy co następuje: ogłaszane przez nas arkusze wzorów w cenie 30 gr., są to oddzielne arkusze, które były dodawane do „Bluszczu“ w ciągu roku 24 i 25, i których pozostała niewielką ilość możemy odstąpić naszym Czytelnikom.

Wzory, umieszczane w zmniejszeniu w dodatku mód i robót, nie mają z temi arkuszami nic wspólnego i mogą być dostarczone w wielkości naturalnej po cenach następujących:

obrus — makata — ekran — zł. 2,50,  
poduszka — serwetka — zł. 1,50,  
drobne desenie — gr. 75.

Przy zamawianiu wzorów należy koniecznie wymienić numer wzoru i rok, gdyż innych wzorów, poza temi, które były umieszczane w „Bluszczu“ nie wysyłamy.



**Quaker Oats** to nie zwykłe płatki owsiane, lecz specjalnie sporządzone, w swej jakości nie do porównania z innymi.

Potrawy sporządzone z tego delikatnego środka odżywczego spożywa każdy z prawdziwą rozkoszą.

**Quaker Oats** są do nabycia tylko w paczkach.

# Quaker Oats

„LAMBRO“ Sp. z ogr. odp. Warszawa. Niecała 8 tel. 76-56.





MYDŁO W PASCIE NISZCZY EMALJĘ



**DENTOLIN**

NAJLEPSZA PASTA DO ZĘBÓW  
BEZ DODATKU MYDŁA

MYDŁO W PASCIE NISZCZY EMALJĘ  
F. KARDPIŃSKI W WARSZAWIE



Najlepsze,  
najtrwalsze

**WYŻYMACZKI**

tylko z napisem

„MADAME SANS GÈNE”

polecają

**KRZYSZTOF BRUN i SYN**

w Warszawie, pl. Teatralny.

**Krem**  
**Miaflor**

delikatnie i odświeża skórę, Chroni twarz i ręce przed pękaniem.

PIOTR ŻAR-POZNAŃ Fabryka perfum i kosmetyków

# Cudowny Nowy Środek.

*Nie skurczy wełny!  
Nie zażółci jedwabiu!  
Nie uszkodzi  
nawet szyfonów!*



**LUX** cudowny nowy środek do prania delikatnych jedwabnych i wełnianych tkanin: Przy użyciu Lux'u materiały wełniane nie kurczą się, a jedwabne nie żółkną. Lux wyrabia się w przezroczystych cienkich płatkach.

Pranie za pomocą Lux'u odbywa się bez wszelkiego tarcia— jest to jedna z głównych zalet Lux'u gdyż tarcie odbarwia i nadwyręza delikatne tkaniny. Do gorącej wody wrzuca się płatki Lux'u i miesza się, dopóki nie powstaną gęste, obfite mydliny, następnie zanurza się w mydlinach rzeczy przeznaczone do prania i przegniata takowe tak długo, aż nie przesiąkną mydlinami. Po przepłukaniu w letniej wodzie, brud wraz z mydlinami zupełnie znika.

Pierwsza próba wykaże niebywałe zalety Lux'u i jego wyższość nad każdym innym mydłem: Nie należy więc zwlekać z próbą. Poniżej zamieszczamy kupon na otrzymanie bez płatnej próbnej paczki Lux'u, prosimy wypełnić i przesłać

**KUPON** Do p. REIDA, Skrzynka pocztowa 479, Pocztą Główna, Warszawa.

Proszę mi przysłać próbkę mydła „LUX”

Nazwisko i adres .....

Mydlarnia w której zwykle czynię zakupy .....

.....  
Kupon ważny aż do odwołania.

Każda osoba może otrzymać jedną próbkę.

„Bluszcz”

Przedstawiciel na Polskę fabryk firmy  
**LEVER BROTHERS LIMITED (Anglja)**

L. REID, Warszawa, Moniuszki 11

Tel. 204-87 i 186-09

Do nabycia we wszystkich składach aptecznych i mydlarniach



Udelikatniają i konserwują skórę

# MYDŁA

Z SILNEMI KWIATOWEMI ZAPACHAMI  
PRZETŁUSZCZONE I HIGIENICZNE

Wyrobu Laboratorium Apteki  
**M. MALINOWSKIEGO**  
Warszawa, Nowy Świat 31.

MYDŁO KONIK  
LILJOWO-MLECZNE

CIESZY SIĘ OD PÓŁ WIEKU  
NAJWIĘKSZYM POWODZENIEM  
CAŁEGO ŚWIATA KULTURALNEGO  
UDELIKATNIA I ODŚWIEŻA CERĘ.



**Dla dzieci niezbędne są słodkie leguminy,**

która wprost wywołują na ich buziach uśmiech, podnoszą cięciwki w leguminach mleko, cukier, jajo i soki owocowe tworzą krew, są bardzo pożywcze a przytem smaczne, tak że dzieci jedzą je chętnie i obficie. — Lekarski domowy reżim używać

### Budyni Oetkera.

Zaleca je się dla chorych i zdrowych dzieci, jest również dla dorosłych, tem bardziej, że są smaczne. — Posiłek budyni Oetkera są bardzo tenie, łatwe do przyswajania i zawierają ważne dla rozwoju ciała części pożywcze. — Podaj tylko szwemu chłopakowi budyni Oetkera, zawsze wolać będzie o więcej! Raczą porzucić mu każdą tyła. Nie trzeba, gdyż budyni te są lekko strawne.

Sławnie przepisy Oetkera można bezpłatnie otrzymać w każdym sklepie spożywczym, jeżeliby przypadkowo ich zabrakło, zasadać bezpośrednio od

**Dra. A. Oetkera, Olwa.**

#### Liczne rodzaje

je: migdałowy, waniliowy, cytrynowy, brzoskwiowy, malinowy, ananaszowy, urozmaicają dala urozmaicenie. Raczą również spróbować

**Dra. Oetkera**

budyniów deserowych

tek: leguminy czasosłodowej z sianem miodowym, budyni czarna, budyni na sposób herbatnik, budyni z makiem i t. d.



Zastępcy: M. GIERZEWSKI, Warszawa, Sienna 26. Tel. 21-41.

ZAWIADAMIAMY SZ. PANIE PRENUMERATORKI, ŻE W ADMINISTRACJI NASZEJ SĄ DO NABYCIA DOŁĄCZANE DO „BLUSZCZU” W LATACH 1924 i 1925

# ARKUSZE WZÓROW

naturalnej wielkości robót ręcznych do kopjowania

ARKUSZE TE MOŻNA NABYWAĆ KOMPLETAMI NIE MNIEJ 6 SZTUK W CENIE 30 GR. ZA ARKUSZ, NA KOSZTA PRZESYŁKI POCZTOWEJ KOMPLETU NALEŻY NADESŁAĆ 20 GROSZY

KOMPLET ARKUSZY Z 25 SZTUK KOSZTUJE 7 ZŁ., Z PRZESYŁKĄ 7 ZŁ. 50 GR.

REDAKCJA I ADMINISTRACJA: WARSZAWA, KRAKOWSKIE-PRZEDMIEŚCIE (PLAC ZAMKOWY) Nr. 99. TELEFON Nr. 239-40. KONTO CZEKOWE P. K. O. Nr. 3.700

PRENUMERATA „BLUSZCZU”

z przesyłką pocztową wynosi:

Rocznie — 57 zł. 60 gr., kwartalnie — 14 zł. 40 gr.

Miesięcznie — 4,80 gr. Zagranicą — 8 zł.

Zmiana adresu 30 gr.

CENY OGŁOSZEŃ:

Na okładce: stronica  $\frac{1}{2}$  — 450 zł.,  $\frac{1}{4}$  str. — 260 zł.,  $\frac{1}{8}$  str. — 150 zł.,  $\frac{1}{16}$  str. — 80 zł.,  $\frac{1}{32}$  str. — 45 zł.,  $\frac{1}{64}$  str. — 30 zł. Za tekstem o 50% drożej.

Wkładki reklamowe i reklamy opisowe — według umowy.